Nr. 21. Lwów, Niedziela dnia 23. Maja 1875 r. **Rok II**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg.

LUŹNE UWAGI.

XXI.

O NAUCE JĘZYKA POLSKIEGO.

II. Jest zle, zaradzić mu zatem koniecznie potrzeba. Katedry języka polskiego w obu krajowych uniwersytetach wakują; pytamy: dla czego? Odpowiadają nam na to: „Ludzi nie mamy“ co nie jest prawdą. Ludzie się znajdują, tylko ich szukać należy; nie w zamkniętych kółkach jednak znajomych pp. profesorów i ich przyjaciół, ale w całym kraju; nie wypytywaniem się na ucho o tym, lub o owym z pracowników, ale drogą, jedynie uniwersytetom właściwą — publicznego konkursu. Wezwijcie uczonych do współubiegania się o najwyższą godność naukową i najzaszczytniejszą w obecnej chwili dla Polaka, a jeśli konkurs skutku nie osiągnie — wówczas będziecie mieli prawo powiedzieć: „Nie ma ludzi— katedra wakować musi.“ Nasze jednak uniwersytety mają widoczny wstręt do konkursu i dla tego dzieją się w nich rzeczy, ubliżające powadze najwyższego zakładu naukowego, uwłaczające nauce i zgubne dla kraju. Pozostawić Polaków bez nauki języka ojczystego lat kilka, a następnie powołać na katedrę osobistość niekompetentną, takie postępowanie uniwersytetu musi wywołać w każdym zasłużone oburzenie.

Mniemamy jednak, że tak lwowski jak krakowski uniwersytet, sprawę obsadzenia katedry języka polskiego u siebie załatwi z korzyścią dla nauki i pożytkiem dla kraju. Robimy przypuszczenie, że obie godności naukowe dostały się tym, którzy tego są warci; mamy już profesorów na obu wszechnicach krajowych... Nie zadowala to nas jednakże; kraj nasz bowiem ma jeszcze u siebie trzeci wyższy zakład naukowy: Akademję techniczną we Lwowie, — polską akademję. A jeśli Pragska politechnika, uznała za rzecz pożyteczną dla swych słuchaczów, Czechów, ufundować katedrę języka polskiego, dumiejemy na myśl, że Polacy u siebie, dla siebie samych; we własnej Akademji katedry takiej nie mają! Miałżeby technik polski obchodzić się bez znajomości języka polskiego, gdy czeski jego kolega znać go potrzebuje?... Mamy Instytut techniczny krakowski, dwie szkoły rolnicze, szkołę leśnictwa... w interesie kraju, dla dobra nauki domagamy się: nie przyczepkowego, jak dotychczas w tych zakładach traktowania nauki języka polskiego, albo i nie traktowania zgoła; ale nauki istotnej, udzielanej przez profesorów, odpowiednio ukwalifikowanych. Albo Polakami jesteśmy, więc uczmy się po polsku; albo nie jesteśmy nim. Wykształcony Polak prawnik li on, leśnik, inżynier, czy agronom zarówno są obowiązani gruntownie znać język swój ojczysty i literaturę jego.

Żądamy ufundowania stałych katedr języka polskiego we wszystkich wyższych zakładach naukowych, jakiekolwiek miałoby być ich przeznaczenie, i ważną tą sprawą zajmować się nie przestaniemy, dopóki odpowiednio nie zostanie rozstrzygniętą.

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VI.

Tymczasem stowarzyszenie rozwijając się coraz dalej, urządziło wspólny magazyn dla łatwiejszej sprzedaży tak cząstkowej jak i hurtownej swoich wyrobów, przyjęło kilka znaczniejszych dostaw mebli za granicę a nawet myślało o budowaniu fabryki. Był to dopiero projekt, którego urzeczywistnienie mogło nastąpić dopiero za lat kilka, potrzeba bowiem było do tego znacznych kapitałów. Jednak już myśl o podobnym zakładzie świadczyła o wielkiem rozbudzeniu przemysłu i o przedsiębiorczości przemysłowców. Józef z uciechą poglądał na owoce swych trudów i zabiegów i to zagrzewało go do dalszej pracy na tej drodze. Nie trzeba jednak myśleć, że wszystko szło mu po myśli, z łatwością. To cośmy tu tak krótko opisali, musiał zdobywać długą i mozolną pracą, powoli i z trudem postępując krok po kroku. Trzeba było walczyć z uprzedzeniami, podejrzliwością, niedbałością wrodzoną nam i nieporządkiem. Jeden z genjalniejszych satyryków dawniejszych naszych, Opaliński, słusznie utrzymywał, że Polacy w niczem nie są tak porządni, jak w robieniu nieporządku. Józef doświadczał nieraz gorzko te prawdy, gdy mu przyszło nieraz użyć całej sprężystości woli i energji, aby utrzymać jaki taki ład i porządek między stowarzyszonymi. Obejściem taktownem i zręcznem godził zwaśnionych, zachęcał do pracy leniwych; jednoczył, upominał, doradzał, słowem był nie tylko głową ale i duszą instytucyj, które wprowadził w życie. A że wszystko koncentrowało się prawie w jego osobie, więc też każde niepowodzenie jemu przypisywano, on odpowiadał za winy innych, podejrzewano nawet nieraz jego rzetelność, a skryta nienawiść niechętnych mu kopała nieraz pod nim swoje lisie nory. Ponieważ warstat jego najwięcej spotrzebowywał materjału i najwięcej produkował, więc też największe jemu przypadać musiały zyski przy dywidendach. To kłuło w oczy zazdrosnych, i pokątnie rozpuszczano wieści o złym zarządzie, podejrzewano go, że umie wyzyskiwać stowarzyszenia dla własnej tylko korzyści, że oni pracują dla niego, gdyż umie tak prowadzić ich interesa aby sam najwięcej się obłowił. Wieści te pełzały w ukryciu jak węże pod kamieniami, nikt nie ośmielił się głośno i jawnie z niemi wystąpić, bo nie mógł dowieść ich nie tylko prawdziwości, ale nawet prawdopodobieństwa, mimo to znajdowały u niektórych wiarę. Czasami nawet obijały się one o uszy Józefa. Przyjmował je z pogardliwym uśmiechem, jak człowiek z czystem sumieniem, który sobie nic nie ma do zarzucenia, i nie dał się tem wcale odstręczyć od swych obowiązków ani

ustawał w pracy; tem bardziej, że przychodziły nieraz ciężkie chwile, do przebycia których trzeba było rozwinąć niesłychaną działalność, aby utrzymać to, co się już zrobiło. Przyszedł rok wielkiej stagnacji w przemyśle z powodu klęsk wojny i spadku papierów na giełdzie, roboty zalegały w magazynach, nie było na nic żadnego popytu; kasa wzajemnej pomocy wyczerpała się na zapomogi na biednych, których liczba znacznie się wzmogła dla braku zajęcia i towarzystwo było bliskiem rozwiązania, a stowarzyszenie dystrybutywne nie miało żadnej dywidendy. To zraziło wielu; zepsuci poprzednim powodzeniem nie umieli znosić klęski z wytrwałością, poczęły się kwasy, niezadowolenia, pokątne szemrania na złą i kosztowną administrację, na protekcję i stronniczość w sprzedaży mebli. Ten ostatni zarzut odnosił się głównie do Józefa. Jego meble jako najgustowniejsze i najlepiej wyrabiane miały największy odbyt, uwydatniło się to najbardziej wtedy, gdy kupiec był rzadki i tak się nieszczęśliwie trafiało, że z tej nie wielkiej liczby mebli, które teraz pozbywano, największa część pochodziła z warstatu Józefa. To więc co było tylko zasługą jego talentu i pracowitości policzono na karb stronniczości, posądzono go, że subjekci w magazynie dla przypodobania mu się i pozyskania jego względów, jako przełożonego, jego tylko wyroby polecają kupującym. Mieli jeszcze cięższy zarzut przeciw niemu, który lubo równie nieusprawiedliwiony jak tamten, dużo mu zrobił niechętnych. Rzecz się tak miała. Przy zakupieniu jednego lasu obfitującego w dębinę, Józef zaproponował spółce wyrabianie mebli giętych, które mogły mieć wielki pokup. Projekt ten nie przypadł do smaku członkom stowarzyszenia, bali się ryzykować i cofnęli się. Józef więc wziął to przedsiębiorstwo na własną rękę, zakupił dęby po cenie zniżonej jako członek stowarzyszenia i rozpoczął fabrykę. Przedsiębiorstwo się udało i Józef zarobił na niem duże pieniądze. Tego nie mogli strawić stowarzyszeni i zamiast sobie przypisać winę, oskarżali Józefa, że ich wywiódł w pole, że ich oszukał przedstawiając im to przedsiębiorstwo mniej korzystnie, aby ich odstraszyć, że skrzywdził stowarzyszenie odłączając się od niego w tym interesie i żądali, by ich przypuścił do udziału. Na to Józef zgodzić się nie mógł, aby owocem osobistej pracy dzielić się z ludźmi, którzy nie tylko mu nie byli pomocnymi, ale owszem przeszkadzali mu gdzie się dało. A gdy rozdrażnienie wskutek tego się wzmagało i byt stowarzyszenia zdawał się być w skutek tych nieporozumień zachwiany, postanowił zrzec się przewodnictwa, którego mu wielu zazdrościło. Po ustąpieniu jego, towarzystwo dopiero przekonało się, czem był i co robił. Z obraniem nowego prezesa, człowieka poczciwego ale nieradnego, interesa stowarzyszenia zaczęły coraz bardziej upadać, brak energicznej ręki dotkliwie dał się uczuć i wszyscy widzieli, że bez pomocy Józefa rady sobie nie dadzą. Józef oprócz sprężystości i wykształcenia, miał rozgałęzione stosunki, znał dokładnie interesa towarzystwa tak ekonomiczne jak finansowe, i on jeden mógł uratować je od ruiny. Musiano więc zdjąć pychę z serca i prosić go przyjęcie napowrót przewodnictwa. Był to niemały tryumf dla Józefa, przyjął go jednak skromnie i odmówiwszy stanowczo przyjęcia godności i tytułu prezesa, ofiarował się jako sekretarz załatwiać wszystkie czynności towarzystwa należące do prezesa. To umiarkowanie w zwycięztwie zjednało mu sympatję wielu, nawet najnieprzychylniejszych mu przejednało. Stał się niejako osią całego ruchu przemysłowego, i był zarazem siłą, która ten ruch wywołała, i gdzie tylko szło o reprezentowanie klasy pracującej lub jej interesów jego wystawiano jako swego rzecznika i luminarza. Pomimo młodego wieku zajmował stanowisko poważne i wpływowe. To uznanie publiczne było zapłatą za jego poczciwe trudy. Uznanie to i szacunek ogólny zwiększyły się jeszcze dla niego podczas niemiłego zajścia, jakie miało miejsce między czeladzią a majstrami. Rzecz się tak miała: Do stowarzyszenia czeladzi powchodziło wielu takich, którzy instytucji tej używali nie na to, aby uczciwie żyć i pracować, ale żeby tylko wichrzyć i mącić, a tym sposobem żyć kosztem drugich. Byli to szczególniej ludzie przybyli, którzy włóczyli się z miejsca na miejsce, nie mogąc nigdzie długo zagrzać miejsca, dla braku chęci do pracy i niespokojnego usposobienia. Ci ludzie zarażeni ideami socjalistycznemi, które przemycane i przekształcane po zagranicznych warstatach, w potwornej formie dostały się do ich uszów, apostołowali dalej te idee między czeladzią. Stowarzyszenie znacznej liczby czeladzi ułatwiało im propagandę; w takiej liczbie łatwo znajdzie się dużo niezadowolonych i takich co nie mając nic do stracenia ani ochoty do pracy, dadzą się do wszystkiego użyć. Zgubny ten ferment psuł nawet zdrowsze indywidua i rozszerzał się szybko a wybuchnął jawnie jako zmowa przeciwko majstrom. Do zmowy tej przystąpić musieli wszyscy, nawet ci, którzy nie podzielali przekonań swych towarzyszów, musieli zachować z nimi solidarność z obawy prześladowań. Zbuntowani postanowili wstrzymać się od roboty i postawić majstrom wygórowane żądania; sprawa ta nie stała się wprawdzie jeszcze publiczną, ale lada chwila miała być podniesioną. Majstrowie byli w kłopocie, co począć; wmięszanie się policji było koniecznem a za tem byłoby poszło rozwiązanie stowarzyszenia. Do tego Józef dopuścić nie mógł; szło mu o utrzymanie instytucji, którą z takim trudem wprowadził w życie. Poszedł więc na zgromadzenie, na którem właśnie ta drażliwa sprawa zmowy podniesioną być miała, wystąpił śmiało i energicznie przeciw wichrzycielom, przedstawił zgubne skutki podobnych agitacyj, zgromił zuchwałych, upominał słabych i uwiedzionych, i udało mu się zażegnać burzę i stłumić ją wprzód nim miała czas wybuchnąć. Czyn ten podobał się bardzo panom majstrom, dawał on im rękojmię, że Józef nie w celu buntowania czeladzi zawiązał stowarzyszenie bratniej pomocy ale dla zaradzenia rzeczywistym potrzebom. W skutek tej zmiany przekonań uchwalono wysłać do Józefa kilku majstrów z podziękowaniem, a przy tej sposobności kilku majstrów zapisało się do stowarzyszenia czeladzi, bo ostatni wypadek przekonał ich, jak potrzebną jest łączność i porozumienie się ze swymi pomocnikami w pracy. Józef był pośrednikiem w ułożeniu zgody, porobiono z obu stron ustępstwa, majstrowie przystali na pewne zmiany w dotychczasowych umowach z czeladzią, czeladź odstąpiła od swych wygórowanych żądań i wichrzycieli wykluczyła ze swego grona. Podczas tej ugody Józef słysząc, jak czeladnicy na usprawiedliwienie swoje często przytaczali drogość niesłychaną wiktuałów, poddał im myśl założenia towarzystwa konsumcyjnego a na początek na kapitał żelazny ofiarował 500 fl. Nie potrzeba mówić, jak wiele serc kupił sobie tym datkiem, a bardziej jeszcze tą propozycją.

Ale jeżeli w publicznem życiu Józef dobił się takiego stanowiska, uznania i sympatji, to prywatne jego życie mniej mu dawało zadowolenia i przyjemności. Brat, który wśród tego czasu wrócił był z zagranicy całkiem już wyleczony i otworzył kancelarję adwokacką, nie przyznawał się całkiem do niego. Uważał sobie za ubliżenie, że brat jego został rzemieślnikiem i zerwał z nim wszelkie stosunki. Było także kilku kolegów dawnych Józefa, którzy wstydzili się przyznać teraz do jego znajomości dla tego samego powodu i unikali go na ulicy. Józef nie zważał na to, z politowaniem patrzał na małość tych ludzi, na płytkość ich wyobrażeń; ale że brat własny wyparł się go, dlatego tylko, że uczciwie pracował na kawałek chleba, to go bolało mocno i zatruwało mu życie; zwłaszcza gdy widział, że ojciec jego stanął po stronie brata. Dylski bowiem puszczony po roku więzienia na wolność, (puszczono go dla braku dowodów) dowiedziawszy się, że Józef wbrew jego woli przyprowadził do skutku swój zamiar, wyparł się go, nie chciał się z nim nawet widzieć i udał się do Jana na mieszkanie. Siostra także nie pokazała się więcej w Krakowie od czasu swej ucieczki. Tak więc Józefowi z całej rodziny pozostała tylko matka. To też otoczył staruszkę troskliwą miłością i czem mógł i jak umiał starał się jej uprzyjemnić życie.

Poczciwa staruszka, która przez cały czas swego małżeńskiego pożycia nic nie zaznała prócz biedy i kłopotów, a co gorsza znosić musiała szorstkie obchodzenie się męża i być zawsze ofiarą jego złego humoru, — teraz przeniesiona naraz do schludniejszego mieszkania, otoczona wygodami, spokojem i miłością, była odurzona tą przemianą i nie mogła dość nadziękować się Bogu za to szczęście, które ją spotkało; książka jej do nabożeństwa, dar i pamiątka po nieboszczyku wuju, miała codzień bardziej zaczernione brzegi, szczególniej miejsca, gdzie była modlitwa za ukochane osoby, modlitwa za dzieci, modlitwa w szczęściu, nosiły widoczne ślady ciągłego czytania. Często bardzo na bibulasty papier padały łzy staruszki i wsiąkały w książkę, ale nie były to łzy co bolą; płakała z radości. Bo jak się nie było radować, kiedy widziała, że syna jej poważano i wielbiono, a ten syn szanował ją i kochał, obchodził się z nią z nadzwyczajną delikatnością i słodyczą, i starał się odgadywać wszystkie jej życzenia. To też nic dziwnego, że ten syn był dla niej wszystkiem

nim tylko żyła; w nim koncentrowały się jej wszystkie myśli i uczucia, strapienia jego w dwójnasób ją trapiły, a szczęście jego poznać można było po rozpromienionej twarzy jej. To też odczuwając tak delikatnie wszystko to, co tyczyło się jej syna, musiała również odczuć instynktowo, że jeżeli on był dla niej wszystkiem, to ona jemu w zupełności wystarczyć nie umiała i nie mogła, że miłość macierzyńska choćby największa, nie wypełni wszystkich potrzeb młodego serca. Znała ona po trochu tajemnice jego, wiedziała o skłonności, jaką miał dla Tekli i pochwalała to, bo Teklunię znała jaką uczciwą, pracowitą i pobożną. Nieraz chodziły obie w maju na mszę ranną na Skałkę, nieraz, gdy jeszcze mieszkali razem w jednym domu, lubiła z nią gawędzić wieczorem na podwórku i miała sposobność poznać do gruntu jej dobre przymioty i radaby była pobłogosławić ją jako swoją synowę; ale gniewał ją opór ojca; duma matczyna cierpiała na tem, że stary Baryłkiewicz zamiast z pocałowaniem ręki przyjąć honor, jaki go spotyka, że syn jej chce zostać jego zięciem, robi fochy jakieś i stawia trudności. To ją tak oburzało, że pomimo całej sympatji, jaką miała dla Tekli, radaby była, żeby sobie Józef to małżeństwo wybił z duszy. Ale Józef dalekim był od tego; należał on do ludzi stałych i wytrwałych, mówił nie wiele, ale każde słowo, które powiedział, miało dla niego wagę, a tem bardziej słowo dane Tekli. Miłość jego nie była namiętnym, gorączkowym wybuchem serca, któryby zrujnował jego życie; owszem miłość ta spokojna była jakby chłodną i orzeźwiającą krynicą, w której krzepił siły, znużone walką życia, a przeszkody jakie stawiano mu nie przyprowadzały go do rozpaczy, wstępował na nie z wiarą, że je przejdzie i dojdzie tam, gdzie dojść zamierzył. Charakter Tekli był mu rękojmią, że nie przyjdzie zapóźno. Widywał ją czasami, mówili ze sobą krótko; ale jedno słowo wystarczyło, aby wzajem dodali sobie odwagi. Czasem nawet nie mówili nic o tem, ale spojrzenia ich mówiły: czekajmy, wierzmy.

A czekać trzeba było dość długo, bo pan Baryłkiewicz zaciął się i trwał przy swojem postanowieniu. Stało się to dla niego prawie punktem honoru utrzymać się przy tem i im więcej Józef zyskiwał uznania u ludzi, im lepiej mu się powodziło, tem bardziej wzmagała się zaciętość Baryłkiewicza przeciw niemu, jako przeciw świętokradzcy, który targnął się na odwieczne instytucje i chciał zburzyć to, co przodkowie z takim trudem zrobili i jako nietykalną świętość zostawili po sobie. Baryłkiewicz postanowił walczyć do upadłego w obronie tych świętości. Rozumie się, że walka ograniczała się tylko na słowach; wygadywał, co mógł przeciw Józefowi i tym, którzy poszli za jego przykładem i upominał innych, aby dotrwali w wierze ojców i starych obyczajach. A że gadanie takie możebnem było tylko w miejscach, gdzie się więcej osób schodziło i najskładniej mu szło przy kieliszku, więc też pan Tomasz coraz częstszym bywał gościem w miodosytni Robackiego, a potem stał się prawie lokatorem. Nigdzie tak na pewniaka nie można go było znaleźć, jak tam. A tymczasem w domu szło coraz gorzej, bieda coraz bardziej wypróżniała mieszkanie pana majstra. Odświętny surdut leżał w zastawie, ślubne obrączki poszły w żydowskie ręce, nawet gospodarskie i kuchenne sprzęty musiał sprzedać, aby mieć czem opłacić komorne, a w miodosytni na tabliczce za szynkfasem długi gorliwego apostoła starego porządku, coraz rosły. Przyszło do tego, że nie było w czem pokazać się między ludźmi, nie było w czem gotować, nie było prawie na czem spać a brudny i pusty warstat wyglądał jak jaskinia, w której stary Walenty w połatanej koszuli i wytartem ubraniu siedział jak więzień w lochu i łatał stare obuwie i śpiewał godzinki. Nie chciał on opuścić swego dawnego druha: wiązało go tu przyzwyczajenie, opuszczenie warstatu, w którym przez lat tyle pracował, wydawało mu się rzeczą niepodobną, przestępstwem, takiem jakby np. opuścił rodzinę swoją. Nie miał rodziny żadnej, dom Baryłkiewicza był jego rodziną. Staremu nie mogło pomieścić się w głowie, jakby to być mogło, żeby przeniósł się do innego warstatu na robotę; duma jego niepozwalała na to, żeby dał upaść warstatowi Baryłkiewicza, a do tego przyjśćby koniecznie musiało, gdyby go porzucił. Wprawdzie już od jakiegoś czasu nikt z gości się nie zjawił, i nie było zadnej roboty; ale zawsze nazywało się, że jest warstat. Po jego odejściu trzebaby może było warstat zamknąć i zdjąć szyld z kamienicy. Na to stary Walenty pozwolić nie mógł. A przy tem któżby był pocieszał Teklunię, kto bronił jej od grubijańskiego obchodzenia się ojca, gdy pod dobrą datą wracał wieczorem do domu? Walenty stawał wtedy jak wierny kundel w obronie dziewczęcia i nie dał jej zrobić krzywdy. Tak więc pomimo biedy i niedostatku, jaki znosić musiał poczciwy Walenty, za nic w świecie nie chciał porzucić warstatu i Tekluni. A tymczasem pan Tomasz pił, politykował i modlił się. Od czasu jak mu bieda dokuczać zaczęła stał się bardzo nabożnym; im mniej pracował, tem bardziej rosła jego ufność w miłosierdzie Boże, i wierzył, że poczciwego pan Bóg nie opuści. Więc dla uproszenia sobie łaski i zmiłowania chodził na msze i nieszpory, ryczał tubalnym głosem ze łzami w oczach: Swięty Boże, święty mocny! i bił się w piersi, że aż echo odpowiadało. Zapisał się do kilku bractw, do bractwa św. Jacka, do różańcowego i szkaplerznego, wykonywał wszystkie praktyki religijne przywiązane do tych stowarzyszeń z wielką skrupulatnoscią, i jeżeli nie było go w miodosytni lub handelku, napewno można było znaleźć go w kościele. Ta żarliwość jego religijna szła w parze z przywiązaniem do starych tradycyj, wiara katolicka była dla niego równie drogą spuścizną; bractwa odpowiadały w jego pojęciu ważności cechów; jedne i drugie miały swój początek i punkt oparcia w kościele. Niereligijność i obojętność do kościoła, jaką widział w młodszem pokoleniu, równie gorszyła go, jak zamach na istnienie cechów.

Ale mimo tej żarliwości religijnej interesa pana Tomasza w coraz opłakańszym były stanie. Przyszło do tego, że sami członkowie cechu, litując się nad jego położeniem, postanowili przyjść mu z pomocą. Dobra właśnie potemu nadarzyła się sposobność. Cech dostał od jakiegoś towarzystwa zamówienie na znaczną ilość butów dla robotników. Był to interes dość korzystny. Cech przez wzgląd na zasługi Baryłkiewicza, jako najstarszego majstra w mieście, i respektując jego przykre położenie, odstąpił mu połowę tego zamówienia i dał zaliczki sto guldenów na materjał. Gdy mu tę uchwałę cechu zakomunikowano, stary zbeczał się jak bóbr rozczulony życzliwością braci majstrów, obcałował, obściskał wszystkich i zaprosił przez wdzięczność na traktament do Robackiego, bo jakże tu nie uraczyć tych, co mu przyszli z pomocą, nie podziękować, jak przystoi. Odmówić zaś takiemu zaproszeniu nazywałoby się obrazą, której się dopuścić nie chciano przeciw tak uczciwemu majstrowi. Poszli więc. Przy gawędce i narzekaniach na ciężkie czasy wypili jedną kolejkę i drugą i trzecią. Pan Tomasz wpadł w ferwor i fantazję, miodek język mu rozwiązał i począł po swojemu wygadywać na stowarzyszenia, które nazywał żydowskim wymysłem, obrachowanym na spekulację a w miarę im się więcej sierdził, tem więcej lampeczek miodu potrzebował na ugaszenie szewskiej pasji. Piorunując na stowarzyszenia wynosił cechy pod niebo, rozpływał się w pochwałach tej instytucji, biorąc pochop z tego, co dla niego obecnie uczyniła.

— Niech mi pokażą ci szubrawcy, nowomodnisie, farmazony coś podobnego — mówił zapalając się. — Oni umieją tylko rachować się jak żydzi, ale o serce ich nie pytaj; tego tam u nich nie ma. U nas jest panie serce, u nas wiara święta!

Rozserdecznił się, a serdeczność swoją okazywał coraz nowemi kolejkami miodu, pić musiano, bo pan Tomasz skoro miał już w czubie, stawał się zawadyjaką i albo trzeba było pić, czem raczył, albo bić się. Majstrowie nie mogli przystać na bijatykę, pili więc, póki mogli; aż jedni cichaczem, chyłkiem się powynosili, drudzy ciężkie głowy pokładli na stole i na wpół senni słuchali oracyj fundatora. Koło północy dopiero opuścili plac boju. Pan Baryłkiewicz wrócił do siebie na niepewnych nogach, z rozmienioną już setką, z której kilkanaście guldenów zostało w miodziarni za traktament i na spłatę dawnych długów.

Na drugi dzień, a była to niedziela, pan Tomasz chciał najprzód podziękować panu Bogu za pomoc, jaką mu zesłał. Ofiarował się więc wysłuchać leżący krzyżem wotywy u panny Marji, potem miał wrócić na objad do domu, zadysponował nawet Tekli, żeby była gęsina i kiełbasa, a po objedzie mieli z Walentym iść po skóry na Kaźmierz. Ale po wotywie pan Tomasz spotkał się znowu z kilkoma znajomymi, z którymi uważał za obowiązek podzielić się szczęściem jakie go spotkało i opowiedział im o życzliwości dla siebie panów braci majstrów kunsztu szewckiego. A że nie lubił opowiadać na sucho, więc pociągnął ich do bliskiego szyneczku na szpagatówkę. Trzeba było oblać robotę. Kazał dać raz, kto inny kazał dać drugi raz, potem trzeci i jak zaczął opowiadać i podlewać,

tak zapomniał o domu, o gęsinie i kiełbasie, co go czekała na objad, zapomniał o przyrzeczeniu danem Walusiowi, że wróci. Tyle tylko pamiętał, że ma iść na Kaźmierz po skóry, ta myśl ćwiekiem wbiła mu się w głowę i ciągle sobie powtarzał, że iść musi, bo jutro trzeba robotę rozpocząć. Im więcej pił, z tem większą powagą mówił o konieczności pracy, o wzięciu się do roboty, która go na nogi postawi. Postawienie to zdałoby się bardzo, bo pan Tomasz dobrze już chwiał się na nogach i kiedy nareszcie zdecydował się na pielgrzymkę na Kaźmierz, nogi te już nie bardzo prosto niosły go do miejsca przeznaczenia. Stracił władzę nad niemi, więc szły luzem, jak się im podobało, kierując się własnym instynktem, a że przyzwyczajone były, jak chłopskie szkapy, co stają przed każdą karczmą, zatrzymywać się często ze swym właścicielem w ogródku na Podbrzeziu za mostem; więc i teraz tam go poniosły i pan Tomasz ani wiedział, jak się to stało, że idąc do Szmula po skórę zboczył na Podbrzezie. A na Podbrzeziu był miodek doskonały, pan Baryłkiewicz znał się na tem; więc kazał na skrzepienie nóg dać lampeczkę. Wnet znalazła się kompanijka dobrych znajomych. W ogródku był przyjemny chłódek, katarynka grała same nasze narodowe kawałki, pana Tomasza to cieszyło, że Niemiec tak się na Polaka przerobił i nie żałował mu szóstaków za jego katarynkowy patrjotyzm, i nie chciało mu się jakoś odchodzić z ogródka od przyjemnej kompanji. Pił do zmroku, potem pił do nocy. Już było koło dziesiątej, gdy Walenty, jak wyrzut sumienia zjawił się w ogrodzie. Zaniepokojony długą nieobecnością majstra wyszedł go szukać; obszedł wszystkie handelki w mieście, w których pan Tomasz zwykł był przesiadywać, był w kościele Dominikanów, u Szmula, nawet wstąpił był na Podbrzezie, ale wtedy tam jeszcze pana Tomasza nie było. Wrócił więc do domu, a nie zastawszy go tam, poszedł znowu go szukać; przejrzał wszystkie szynki i piwiarnie na Kaźmierzu, był w miodziarni Wojciekiwicza i u Franca koło Bonifratrów, zapędził się nawet na Podgórze, gdzie pan Tomasz miał także uprzywilejowaną knajpeczkę, aż w końcu znalazł go tutaj.

(C. d. n.)

O ILUSTRACJACH NASZYCH NARODOWYCH POETÓW.

Napisał

W. J. WDOWISZEWSKI.

(Dokończenie.)

VII.

W roku 1864 wyszła z druku Grażyna i Konrad Wallenrod, znów z ilustracjami Antoniego Zaleskiego. Wstrzymam się od szczegółowego oceniania ilustracyj do obydwu poematów; zobaczcie sami i osądźcie, czy jest w nich poezja Mickiewicza, czy jest odczucie poety, czy jest chociażby w najdalszem przybliżeniu potęga i urok, jakim na nas działają postacie poematów. Artysta nietylko że nie dorósł poety, ale nawet niektóre sceny na tych ilustracjach miasto grozy budzą śmiech. Dla przykładu przypatrzcie się Konradowi na ostatniej ilustracji, w chwili gdy:

Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy
Zrywa płaszcz, Mistrza znak o ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy.

Po tych chybionych ilustracjach wziął się Antoni Zaleski do odtworzenia Malczewskiego „Marji,“ która pojawiła się w r. 1867.

Marja nie miała nigdy szczęścia — Zaleski potwierdził tylko to zdanie. Jeżeli ilustracje jego do Marji nie są karykaturą, to w każdym razie są dziełem skończenie nieudolnem. Zobaczcie np. tylko Marję i Wacława w uścisku i pod tem podpisane słowa poety:

Tak mi lekko, tak słodko — tak mi nic nie trzeba,
Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba;

a z pewnością parskniecie śmiechem! Wydania tego nie uratują dwie lub trzy lepiej wykonane ilustracje, bo osoby główne na większej ich części są z gruntu chybione.

J. I. Kraszewski donosił w „Strzesze“ z r. 1872 str. 91, że Antoni Zaleski ilustruje dla Żupańskiego „Pana Tadeusza.“ Jeżeli ilustracje do tego arcydzieła, mają wypaść tak, jak do Grażyny, Wallenroda, Marji, to lepiej zrobi artysta, jeśli je schowa do teki na zawsze. Na co mnożyć plagjaty, a wydawcę narażać na niepowrotne koszta.

Ilustrowane wydanie Pola „Pieśni o ziemi naszej,“ tegoż nakładcy zachowałem na ostatek, aby dział ilustrowanych wydań zamknąć arcydziełem poety i arcydziełem ilustratora.

Nie jest to przesada. Na tę nazwę zasługują ze wszech miar ilustracje Juljusza Kossaka do „Pieśni o ziemi naszej.“ Na siedmiu kartach odrysował artysta poemat równy potęgą przedstawienia swemu pierwowzorowi. Wszystkie ziemie i okolice dawnej Polski, umiał artysta przedstawić w ich właściwościach, z tą samą miłością, jak poeta, z tą samą troskliwością i cieniowaniem. Na wskróś polska dusza wieje z tych kart artysty, a tak przemawia do serca, że nie wiesz co cenić więcej: artystę li czy pisarza. Spojrzyjcie np. na ostatnią kartę. Zebrał na niej artysta wszystko co porusza narodową duszę: więc wiarę, w narodzie klęczącym pod obrazem Bogarodzicy; rodzinę, w weselu krakowskiem; miłość przeszłości i świetne dzieje „co się śmiły,“ w pomniku rycerza.

A Tatry?! „a lud rosły niby sosna“ — wszystko wspaniale uprzytomnił artysta. Włożył on w te ilustracje całą swoją duszę, to też nawet postacie kobiece, które mu się zwykle nie udają, tutaj odzyskały swój wdzięk; tutaj wszystko się jednoczy ku stworzeniu skończonego dzieła sztuki. Zaiste grzechem jest nie znać „Pieśni o ziemi naszej“ wydanej przez Żupańskiego a ilustrowanej przez Kossaka.

Nie potrzebuję — zdaje mi się — zwracać uwagi, że czasopisma warszawskie coraz częściej zamieszczają ilustracje bądź do większych bądź do mniejszych poezji, tegoczesnych pisarzy, gdyż o tem wie każdy czytujący te pisma. Szczegółowo o nich mówić nie mogę, bo by moja rozprawa urosła w tomową książkę, a jej celem było zwrócenie uwagi na ilustracje najcelniejszych poetów narodowych.

Wypada na zakończenie rzucić okiem przeglądowo na wypowiedziane zdania i zreasumować sąd o ilustracjach naszych w ogóle. Nie bardzo on pochlebny. W większej części są utwory naszych artystów jako ilustracje, chybionemi; mała tylko cząstka odpowiada celowi. Dla czego? Bo artyści nasi, po pierwsze, lekceważyli ilustracje i biorąc się do ich wykonania nie zdawali sobie sprawy z wymogów, jakie spełnić musi ilustracja do poety, jeśli ma zasłużyć na tę nazwę. Po drugie, wzięli się do ilustrowania poetów, nie przysposobiwszy się należycie do ich technicznego wykonania. Większa część tychże chroma na rysunek, a ten przecież jest nieodzownym warunkiem dla artysty. Kto biegle rysować nie umie, ten nie jest wstanie oddać uczuć ludzkich w twarzy i postaci. Po trzecie, trzeba obserwować naturę we wszystkich jej objawach, aby módz oddać życie. Tego ilustratorom brakuje. Dla odtworzenia poetów naszych korzystniejsze są studja towarzyskiego życia i przeszłości narodu, od najsumienniejszych studjów z antyków.

Tylko wypełnienie powyższych warunków, obok ukochania i zrozumienia poety, może wydać ilustracje artystycznie skończone i takich oczekujemy od artystów.

Sąd mój o ilustracjach oparłem na zasadach wypowiedzianych w dwóch początkowych rozdziałach niniejszej rozprawy; zasadach, wyprowadzonych z rozważania piękna i objawów jego; a jeśli wypadł surowo, przyczyny trzeba szukać w wymaganiach, jakie umiejętna krytyka musi postawić artyście, ilustrującemu poetę. Tylko wielką skalą można mierzyć wielkie zamiary.

Ufam taktowi artystów, że mi za złe nie wezmą ostrego, ale sumiennego sądu, a tym, których obejdzie nagana, przypominam słowa naszego Andrzeja Maksymiljana Fredry: „Gdy co źle zrobisz, myśl o polepszeniu, a raczej na siebie gniewaj się, niż na tego, co przygania.“

W. J. Wdowiszewski.

Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

Lękaj się być niesłusznym względem niewiast twoich, nie miej więcej nad dwie, trzy, lub cztery żony, wybieraj takie, jakie się tobie podobały. Jeżeli ich uczciwie utrzymać nie możesz, poprzestań na jednej tylko, lub ogranicz się na niewolnicach twoich To mądre postępowanie poda ci środki pozostania sprawiedliwym. Dawaj im posag, na jaki twój byt pozwala, i szanuj wnętrzności, które cię nosiły. Bóg widzi sprawy wasze.“ (Koran Rozdział IV. wiersz 1 i 3.)

Zdania o stanie kobiet muzułmańskich są zwykle oparte na treści Koranu, który pozwala mężczyźnie mieć cztery żony i tyle hurysek, ile ich wyżywić jest w stanie; kobiecie naznacza tylko połowę spadku w porównaniu z mężczyzną, który ma obowiązek płacić posag kobiecie, gdy się chce połączyć z nią związkami ślubnemi.

Wszystko to razem z opisaniem haremów wielkich panów wschodnich, dało powód do myślenia, że mahometanki sprzedają się jak rzecz przeznaczona dla zadowolenia zmysłowości prawdziwych dzieci proroka i chociaż wyżej stojąca na szczeblu stworzenia jak pies, koń i wielbłąd, jest niżej daleko jak mężczyzna, ów król stworzenia. Takie jest w ogóle zdanie cywilizowanych europejczyków o położeniu kobiet na całym Wschodzie. Zdanie to jednak jest zupełnie mylne. Podróżując długo po północnej Afryce, od Śród-

ziemnego morza do piasków wielkiej Sahary, przebiegając niezmierzone stepy w towarzystwie arabów cywilizowanych, to jest tych, którzy przyjęli cokolwiek z europejskich obyczajów, i niecywilizowanych, to jest takich, jakimi wydała ich natura, połączony z niektórymi poufałą przyjaźnią, wsłuchując się w ich opowiadania i porównywając z tem, co sam widziałem, przyszedłem do przekonania, że i tu, jak wszędzie, my rządzim światem, a nami kobiety, bo dla kobiety Arab poświęci wszystko: bogactwo, znaczenie, konia, sławę i życie nawet!

Na dowód przedstawię znaczenie kobiety w życiu publicznem, prywatnem i religijnem a potem, osądź sam czytelniku, czy mam słuszność co do powyższego twierdzenia.

W południowych krajach kobiety dojrzewają bardzo prędko; widziałem ośmioletnie dziewczęta pojęte w małżeństwo, a trzynastoletnie, które były już matkami. Ponieważ życie kobiety właściwie zaczyna się w chwili, gdy została towarzyszką mężczyzny, zaczniemy więc od opisania zaślubin a niech fakta same mówią.

Bardzo rzadko zdarza się i to w miastach tylko, że młodzi ludzie nie widzieli się i nie porozumieli przed połączeniem. Przy tem wielką rolę odgrywają przyjaciółki lub krewne matki pana młodego, lub nareszcie stare kobiety (adżuza), zajmujące się pomaganiem w miłosnych intrygach. Po rozmówieniu się młodych ludzi, młodzieniec prosi ojca o wyswatanie mu tej kobiety, która mu się podobała. Jeżeli ojciec uzna, że partja jest stosowną, posyła jednego z krewnych swoich do ojca dziewczyny z zapytaniem, czy chce mieć syna jego za zięcia i na jakich warunkach odda mu dziewczę w małżeństwo.

Żeby dać wyobrażenie o tych warunkach, a mianowicie jaki posag powinien zapłacić dostatni Arab przyszłej żonie swojej, powiem, czego żądał jeden z szejków wydający córkę swą za mąż: „Pan młody da mej córce sto durów (250 złr.) i jedną murzynkę, bransolety ze srebra na ręce i na nogi, dwie sztuki materji sudańskiej, po dziesięć łokci każda, dwa cienkie jedwabne haiki, pantofle z Faasu, 40 gessaa (korzec) żyta, 20 owsa, 6 garnków masła, gwoździków miarkę, sergrina (czyli korzeń pachnący używany od zimnicy), koheil (antymon) do czernienia rzęs i perfum flasz kilka. Ja zaś dam jej dwa dywany z Faasu, skóry bawole wyrabiane w Sudanie, i haiba z zamkiem (worek w którym kobiety chowają swe kosztowności).

Po wzajemnej ugodzie warunki te zapisują się u sędziego. Na drugi dzień krewni pana młodego i przyjaciółki jego rodziny idą do panny młodej, żeby jej powinszować i doręczyć dary. Panna, matka jej, krewne i przyjaciółki przyjmują poselstwo z krzykiem „ju! ju! ju!“ oznaczającym radość i zdziwienie kobiet arabskich. Dary rozkładają się przed niemi na ziemi; kobiety rozpatrują je z ciekawością i im bogatsze i piękniejsze rzeczy przysłano, tem częściej powtarza się krzyk ju, ju... a sąsiedzi sądzą z tego o wspaniałości pana młodego. Po wieczerzy kobiety zebrane u panny młodej wychodzą z jej domu, otaczają muzykantów przysłanych przez narzeczonego i zaczynają tańczyć. Mężczyźni chwytają za broń, wbiegają w środek tańczących i witają je, strzelając w powietrze. Wesołe towarzystwo przebiega wieś całą, powiększając się ciągle ciekawymi jej mieszkańcami. Nareszcie kobiety wracają do panny młodej, u której noc przepędzają, mężczyźni rozchodzą się do domów.

Dzień drugi jest dniem porwania (nhar ufude). Pan młody ubrany w najświetniejsze swe odzienie, w towarzystwie przyjaciół ubranych po świątecznemu, wyjeżdża ze swego domu do domu panny młodej żeby ją porwać, bo przyzwoitość nakazuje, żeby dziecko nie z własnej ochoty porzucało dom rodzicielski, ale niby z musu, ustępując tylko sile. Przyjaciele i krewni ojca panny młodej, bronią jej, wstępują w zapasy, strzelają w powietrze, nareszcie po długiej walce ustępują przed panem młodym, który otacza dom swym oddziałem. Narzeczona wychodzi z domu otoczona przyjaciółmi i krewnemi, wsiada na muła lub wielbłąda okrytego drogą makatą, a dwaj murzyni prowadzą ją do domu męża. Dziewczyna nie żegna się z ojcem ani z braćmi, bo uczucie wstydliwości nie pozwala jej stanąć przed nimi wtedy, gdy jej położenie towarzyskie zmienia się: życie dziewicze kończy się, ona już należy do drugiej rodziny.

Panna młoda powinna zstąpić na ziemię tylko u męża; która więc nie ma środków nająć muła lub wielbłąda, przenosi się na plecach niewolników.

Narzeczony zbliża się do niej, kładzie rękę na jej głowie i mówi: „Pani, niech Bóg mnie pobłogosławi tobą, a warkocze włosów twych uszczęśliwią mnie“. Następnie matka podchodzi do córki i mówi: „Wychodzisz z gniazda, w którem tak długo żyłaś, idziesz do człowieka, którego jeszcze nie znasz, do towarzystwa w którem żyć nie przywykłaś. Radzę ci być niewolnicą męża, jeżeli chcesz, żeby on był sługą twoim. Uległość żony jest ochroną od złego obchodzenia się z nią męża. Bądź zawsze zadowolona z małego. Zważaj na to, co on lubi i żeby oczy jego nie widziały złych uczynków. Dopatruj jedzenia jego i pilnuj w czasie snu, bo głód wzbudza gniew a bezsenność zły humor. Strzeż jego dobra, bądź łagodną z jego krewnemi i sługami. Bądź niema w jego tajemnicach. Gdy on wesół, nie okazuj smutku, gdy on smutny, nie bądź wesołą, a Bóg cię pobłogosławi.“

Wszyscy przytomni wykrzykują: „Niech Bóg was błogosławi, niech Bóg was błogosławi!“ i całe towarzystwo odprowadza młodych aż do domu, do którego wchodzą tylko małżonkowie. Zaledwo drzwi domu zamkną się, podjeżdżają dwaj posłańcy (uzza) i w imieniu matki proszą pana młodego aby był łagodnym i delikatnym dla żony. Po odjeździe ich młodzi małżonkowie udają się do siebie. Wystrzały broni ręcznej i okrzyki kobiet rozlegają się w około.

W południe następnego dnia niewolnicy pana młodego wynoszą zebranym gościom kuskus, pieczoną baraninę, daktyle i inne owoce i mleko, rozkładając to wszystko na plecionkach z palmowych liści.

Po uczcie drzwi pomieszkania otwierają się, matka panny młodej otrzymawszy suknię córki odzywa się do niej w te słowa: „Niech Bóg daje ci siły i zdrowie, ty nie zawiodłaś nadziei naszych, jesteś poczciwą kobietą, nie pożółciłaś twarzy naszych!“ (t. j. nie zasmuciłaś nas).

Młoda małżonka, bogato ubrana, rozpuściwszy włosy na plecach siada na pysznym kobiercu i przyjmuje pozdrowienia i życzenia krewnych i znajomych swoich. W innym czasie kobieta grzeszy, gdy pokazuje włosy swoje.

Zwyczaj zabrania młodym odwidzać rodziców w ich domu wcześniej jak w osiem dni po weselu. Po tym terminie młoda para zaczyna żyć tak jak wszyscy. Młoda małżonka otrzymuje od ojca jedną lub dwie murzynki do usługi i kilka drzew daktylowych, a od teścia — materje, perfumy i różne błyskotki.

Kiedy się żenią bardzo bogaci, więcej dni poświęca się na ucztę, większa jest liczba gości, większy przepych w przyjęciu panny młodej. Oprócz tego w bogatych rodzinach częściej się zdarza, że młodzi nie widzą się z sobą przed weselem. Ojciec i matka młodzieńca szukają mu żony równego rodu, czasami w drugiem i oddalonem plemieniu, wyprawiając posła z prośbą o jej rękę.

Arab uważa za grzech żenienie się z kobietą słabego zdrowia i nieobiecującą licznego potomstwa. Szeik El Hadzad pisał do swego przyjaciela: „Poszukaj w plemieniu twojem żony dla mego syna, chcę żeby ona była ładną z daleka, przyjemną z bliska, z opinją nieposzlakowaną, szlachetną z towarzyszkami, dobrego charakteru, zdrową i kochającą swego męża.“

Prorok otoczony młodzieżą tak objaśniał pewnego dnia słowo boże: „Niech ci między wami, co są bogatsi i mogą utrzymać jedną lub więcej żon, żenią się, bo małżeństwo ustala charakter mężczyzny i upewnia dobre prowadzenie się kobiety. Nie mający tych środków — pośćcie często, bo post osłabia zmysłowość i wstrzymuje od nierządu. Gdy się mężczyzna żeni, szatan wielki krzyk podejmuje — „Panie, co ci jest?“ krzyczą sługi jego. — „Śmiertelnik jeden wyrwał się z rąk moich“ odpowiada szatan w rozpaczy. — Nie będziecie mogli, pomimo usiłowań waszych podzielić zarówno miłość pomiędzy wasze żony, lecz na żadną stronę nie przeważajcie szali. Bądźcie sprawiedliwi, bójcie się Pana, a doświadczycie skutków jego dobroci. Wybierajcie lepiej żony z ciemną cerą, gdyż te są płodniejsze, jak kobiety białe zupełnie, bo ja chcę, żeby liczba wiernych moich w dzień ostatni była wielką. Opiekujcie się kobietami bo one są słabe. Żeńcie się za młodu, bo kobieta ucieka przed siwą brodą, jak owca przed wilkiem.“

Mahomed dając prawa Arabom, nie mógł więcej zrobić dla kobiet, jak to co zrobił, bo przed nim kobiety na Wschodzie prawie żadnych praw nie miały ani do spadku, ani do rozwodów. Mąż był panem wszechwładnym i od niego zależało szczęście i życie żony. Mahomed nie mógł dać praw większych, bo przeciw niemu oburzył by się naród, przyzwyczajony patrzeć na kobietę jako na rzecz. Już samo ograniczenie liczby żon było wielkim postępem, bo powstrzymywało prawowiernych od zbytków i rozwiązłości.

(C. d. n.)

O naturze i harmonji barw

napisał

Stanisław Kramsztyk.

(Ciąg dalszy.)

Objawy tego kontrastu następczo-współczesnego występują także, gdy różne barwy są obok siebie ułożone. Dajmy np. że na wielkiem żółtem polu leży papierek czerwony; ponieważ papierek ten, oprócz właściwej swej barwy, wysyła także i białe światło, tak jak w ogóle wszystkie ciała barwne, to z tego światła białego oko uchwyci tylko barwę dopełniającą do barwy żółtej otoczenia, t. j. barwę niebieską, — zupełnie tak samo jak w wyżej opowiedzianych przykładach, gdy białe kółko znajdowało się na tle barwnem;

ale tutaj ta dopełniająca barwa niebieska łączy się z własną czerwoną barwą papierka, który ztąd przedstawia się fijoletowym. Dwie przeto barwy wywierają na siebie nawzajem to działanie, że pod wpływem jednej druga zyskuje przymieszkę barwy dopełniającej względem pierwszej. Tak opowiada znowu Chevreul, że dama oglądała długo w sklepie materję żółtą, poczem zwróciła się ku tkaninie pomarańczowej, którą jej kupiec wychwalał jako szczególnie piękną, — oświadczyła jednak, że ta nie jest zgoła pomarańczową, ale amarantową i rozdąsana wyszła ze sklepu. Gdy po kilku minutach wróciła, ze zdumieniem się przekonała, że materja ta była istotnie pomarańczową. Przez długie bowiem oglądanie tkaniny żółtej, oko jej znieczuliło się na barwę żółtą, a gdy zaraz potem spojrzała na materję pomarańczową, to ze światła białego przez nią odbijanego nie mogła już uchwycić promieni żółtych, ale dopełniającą ich tylko barwę indygową, która łącząc się z barwą pomarańczową tkaniny, utworzyła amarant; skoro jednak oczy nieco wypoczęły, mogły już dobrze rozpoznać barwę pomarańczową.

Oczywiście, że nietylko barwy na sobie ułożone, ale także barwy ze sobą graniczące nawzajem na siebie działają. Jeżeli sukno żółte styka się z czerwonem, to pierwsze ograniczone jest smugą zielonawą, gdyż mięsza się do niego barwa niebieskozielona — dopełniająca czerwonej, gdy skraj czerwieni wpada w barwę purpurową z powodu przymieszki fijoletu — barwy dopełniającej koloru żółtego.

Aby mieć kontrast rzeczywiście współczesny, należy wzrok utrwalić na dwu barwach lub jasnościach, obok siebie położonych; zjawiska tu występujące będą zresztą takież same, jak powyższe. Najłatwiej jest kontrast ten uchwycić przy podwójnem i rozmaitem oświetleniu przedmiotów. Przy zapadającym zmierzchu ustawmy przy oknie zapaloną świecę, a na przeciw niej biały papier; jeżeli teraz przed papierem trzymać będziemy pręcik, na białej powierzchni otrzymamy dwa cienie. Cień pochodzący od światła zmierzchu będzie oświetlony czerwonożółtym płomieniem świecy i wydaje się rzeczywiście czerwonożółtym; cień drugi oświetlony jest światłem zmierzchu, rozproszonem światłem słonecznem — jest przeto rzeczywiście, objektywnie, białym, w sprzeczności jednak z tłem białawoczerwonożółtem okazuje się subjektywnie niebieskim.

Według Helmholtza jednak zjawiska kontrastu współczesnego polegają nie na poczuciu nerwowem, ale na sądzie naszym. Każde w ogóle wrażenie nerwowe tylke w pierwszej chwili oceniamy należycie; przy dłuższem trwaniu tego wrażenia, działanie jego coraz się bardziej obniża i przechodzi nakoniec w obojętność. Jeżeli więc nagle otrzymamy wrażenie tej obojętności, to wywołuje ono działanie przeciwne. Tak przy szybkiej jeździe czujemy z początku, że przedmioty się od nas oddalają; przy dłuższem jednak trwaniu tego wrażenia przypisujemy sobie nieruchomość, a przedmioty zdają się od nas oddalać; skoro się zaś wtedy nagle zatrzymamy, te przedmioty, które od nas przed chwilą odbiegały, zdają się teraz szybko ku nam przybliżać. Tak samo i barwa, na którą długo wzrok utrwalamy, staje się dla nas coraz bielszą, gdyż przywykliśmy światło najjaśniejsze i najpospolitsze uważać za białe; gdy rozpatrujemy pewną okolicę przez szkło czerwone, to z początku wszystko, co było białem, wydaje się nam ognisto-czerwonem i widok ten sprawia nam rozkosz; po pewnym już jednak czasie tracimy to wrażenie i wszystko, co było poprzednio białem, wydaje nam się znowu białem. Jeżeli wtedy na tem polu rzeczywiście czerwonem, a pozornie białem, wystąpi jakie miejsce istotnie białe, to ono wywoła działanie przeciwne i ukaże się w barwie dopełniającej do czerwieni, to jest niebiesko-zielonej. Wskutek tego te złudzenia przy utrwalaniu wzroku, to jest przy istotnym kontraście współczesnym; barwa biała, a tem samem szara i czarna, wydają się nam powleczone barwą dopełniającą barwy otoczenia.

Takie są zasady optyczne, na których może się oprzeć nauka o harmonji barw, to jest o przyjemnem dla oka zestawianiu barw w dziełach sztuki, przemysłu i życia zwykłego, nauka, któraby była spójnią niejako między optyką a właściwą częścią estetyki. Muzyka jest już w ten sposób ściśle złączona z akustyką, z nauką fizyczną o tonach — tam istnieje nauka harmonji, wskazująca łączenie tonów w akordy, i nauka generałbasu, która ma za przedmiot łączenie akordów w całość estetyczną. Pomimo licznych usiłowań jednak teorja harmonji barw jeszcze nie istnieje, niepodobna nawet powiedzieć, czy w ogóle możliwem jest wydobycie tu pewnych ogólnych, prostych praw, odnoszących się do zestawienia i łączenia między sobą kolorów. Zapytać się także można, czy nauka harmonji barw byłaby również ważną, jak nauka harmonji tonów. Tej doniosłości zapewne nigdy mieć nie będzie, — ucho bowiem obraca się li tylko w dziedzinie tonów, gdy oko przedowszystkiem chwyta pojęcie przestrzeni, a najbardziej estetyczne wrażenie zyskuje ono przez rozpatrywanie pięknych kształtów,— barwa zajmuje miejsce drugorzędne; piękne barwy bez pięknych kształtów wzbudzają w nas tylko mierne wrażenie piękna. Wzniosłe kształty mogą w nas wzbudzać najwyższe zadowolenie, chociaż są zupełnie bezbarwne, a dzieła rzeźby przez przyozdobienie barwami tracą nawet na wartości estetycznej i takie strojenie utworów rzeźby tam tylko napotkać możemy, gdzie sztuka nie wyszła jeszcze z pieluch dzieciństwa. Harmonja jednak barw ma nader doniosłe znaczenie w malarstwie, a więcej jeszcze w przemyśle, który nie posiada twórczości artysty i rozwijać się może tylko na ścisłych, surowych prawach nauki, jakiemi go wiedza dzisiejsza tak sowicie obdarzyła.

Znaczenie harmonji tonów jest dalej i ztąd różne od znaczenia harmonji barw, że świat tonów, dostępnych naszemu uchu, jest o wiele rozleglejszym niż świat barw, jakie oko nasze ogarnia, widzieliśmy wyżej, że oko nasze obejmuje zaledwie jedną oktawę barw, gdy ucho ująć może kilka oktaw. Natomiast jednak drobne odstępy między tonami giną dla ucha, nie rozróżnia ono już między sobą tonów różniących się mniej niż o półton, gdy oko chwytać może najlżejsze, najdrobniejsze odcienia barw.

Do niedawna wprawdzie liczba farb, jakie przemysł wydobywał ze świata mineralnego roślinnego i zwierzęcego, była dosyć ograniczoną, w ostatnich jednak latach, chemja, która jakby nie poprzestając na badaniu ciał, jakie przyroda wytworzyła, stara się wynagradzać jej zapomnienia i wykrywa całe szeregi związków, nie istniejących w przyrodzie, obdarzyła sztukę i przemysł niesłychaną mnogością barwników żywych i świetnych; barwniki zwłaszcza anilinowe, wydobyte przez Hoffmana z czarnej i odrażającej smoły węgli kamiennych, bogactwem, wspaniałością, żywością i blaskiem stanowią istotną w farbierstwie epokę. W ten sposób pod tym przynajmniej względem czułość oka zastępuje obszerność ucha. (Dokoń. nastąpi.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Przybycie do Gondokoro.

Dalszą podróż po Białym Nilu, odbyliśmy bez znaczniejszych przygód, mając tylko niejednokrotną sposobność polowania na antylopy, podczas częstych przystanków dla naładowania drzewa. Minąwszy okolice zamieszkałe przez plemiona Bohr i Shir, dobiliśmy się w kwietniu do Gondokoro, położonego naprzeciw dawnej stacji misjonarskiej.

Rzeka zupełnie się zmieniła od czasu pierwszej mej bytności w tych stronach; dawny kanał o znacznej głębokości wody, był teraz zasłany mieliznami, nowe wysepki powstały w różnych punktach, co uniemożebniło przybycie okrętów do dawnej przystani. Zwróciwszy się więc w innym kierunku, dopłynęliśmy do miejsca wyniosłego, którego położenie i rozrzucone drzewa mile ku sobie wabiły, odsłaniając przed naszemi oczyma szczątki osady handlarskiej, złożone z kilku chat na wpół rozwalonych.

Co za zmiany zaszły w tych stronach! Liczne wsie rozsypane gęsto na przestrzeni ocienionej kłąbami drzew, ludne i ruchliwe, znikły jakby sen jaki, bez najmniejszego znaku dawnego życia. Ludność ze zniszczonych siedzib, przeniosła się na liczne wysepki rzeki, chroniąc się tam od nieprzyjaznych sąsiadów.

Wyladowawszy, posłałem zaraz po naczelnika tutejszej ludności, nazwiskiem Allorron, który za swojem przybyciem opowiedział, jakim sposobem cała okolica została zniszczoną przez plemię Loquia. Ci ludzie, za namową handlarzy, napadli byli na wsie w znacznej sile, niszcząc i paląc całe osady. Zachęcałem ich do powrotu na dawne miejsca, obiecując pomoc i opiekę, jeśli zechcą być wiernymi poddanymi wice-króla Egiptu; jednocześnie oznajmiłem im, że w zamian za udzieloną im opiekę, muszą nam uprawiać pola, i wybudować chaty dla przybywającego wojska. Wszystko to przyobiecał zrobić, poczem ułożyłem się z nim, że jutro zwoła całą ludność, aby jej oznajmić naszą ugodę.

Nazajutrz zjawił się Allorron, scheik Barisów, z jakąś częścią swoich ludzi, dopominając się z góry koniaku. Powierzchowność jego jest okropnem uosobieniem dzikiej zwierzęcej natury, której wszystkie wady spotęgowały się w tej chudej i nagiej postaci.

Zaraz na wstępie oświadczył, że ludzie jego nie mogą nam przysposobić materjału na wybudowanie obozu, ponieważ nieprzyjazne sąsiednie plemiona, nie dozwalają nagromadzić

drzewa bambusowego. Odrzekłem mu na to, że kiedy moich rozporządzeń nie wykonuje, będzie musiał rozlokować wojsko w swojej wsi, gdyż na to nie przystanę, aby żołnierze żyjąc bez dachu, byli wystawieni na chłód i deszcze. Allorron i jego otoczenie rzucili mi w odpowiedzi bardzo nieprzyjazne spojrzenia, i chociaż wiedziałem, że Barisi są jednem z najgorszych plemion zaludniających okolice Nilu, nie byłem jednak przygotowany na tak nieprzyjazne przyjęcie.

Tłumaczyłem im cel naszej wyprawy; zdawali się z niedowierzaniem słuchać słów moich, robiąc różne uwagi w swoim języku, kończące się pogardliwym uśmiechem. Zasadę zniesienia handlu niewolnikami uznawali tylko dla swojego plemienia, nie mogąc się zgodzić z myślą, aby ta reforma mogła być zastosowaną do wszystkich ludów. „Cóż będą robili handlarze i ich kompanje, po zniesieniu handlu niewolnikami?“ takie było zapytanie Scheika. Pułkownik Abd-el-kader starał się im objaśnić moje stanowisko, i zależne położenie handlarzy; na te argumenta wybuchnęli grubjańskim śmiechem. Widział mnie ten Scheik z żoną za pierwszą naszą bytnością w Gondokoro, i pamiętał, że nie tylko znajdowaliśmy się w nader przykrem położeniu, ale nadto przypomniał sobie pogardliwe wyrażenia, których handlarze n ewolników używali mówiąc o Europejczykach. Widział on także niejednego Europejczyka przybywającego do Gondokoro, a przecież żaden z nich się nie utrzymał. Przytem słyszał niedawno od ludzi Abon Savoda, reprezentanta firmy Agàd et Co: o mojem przybyciu i otrzymał radę przyjacielską, w jaki sposób może się pozbyć nieproszonych gości. Zdawało mu się zatem, że ciągłe prześladowania znużą wkrótce żołnierzy i oficerów, i wyprawa zniechęcona niepowodzeniem, wróci niebawem tam, zkąd przybyła.

Nic dziwnego, że taki nieokrzesany barbarzyniec, którego lud łączył się z kompanjami handlarzy, dla napadania i rabowania sąsiednich plemion, nie uznawał dobrodziejstwa opieki, i z niechęcią patrzał na rząd nadający prawa, i ustalający porządek.

Nie tracąc czasu wzięliśmy się do oczyszczenia małego kawałka gruntu, zasiewając ziemię, którą przyłączyliśmy do Egiptu. Żołnierze z wielkiem zajęciem brali się do zakładania ogrodów, przysypując zasiane ziarna lekką ziemią, i kończące pracę swoją zwykłym okrzykiem: „Bismillah!“ (w imię Boga.)

We dwa tygodnie po naszem tu przybyciu, wszyscy moi żołnierze mieli już porobione ogródki, ciągnące się prostopadle do obozu. Podawałem im różne nasiona, obiecując nagrodę, za najpiękniej wypielęgnowane warzywo. Usiłowałem tym sposobem obudzić zamiłowanie do rolnictwa w moich ludziach, gdyż żadne zajęcie nie wywołuje takiego przywiązania do pewnej miejscowości, jak uprawa roli, jeśli klimat i grunt sprzyjają pracy rolnika. W wyprawach do krajów dalekich, jest rzeczą prawie niezbędną, zaszczepianie uczucia interesu do kawałka ziemi, który chwilowo stać się powinien naszym domem i ojczyzną. Chata jest tylko schronieniem, ale chata otoczona żyznym ogrodem, staje się miłą własnością, od której człowiek prawie oderwać się nie może.

Przyjemnem jest śledzenie rozwoju kwiatu lub krzewu, własną zasadzonego ręką, mniej poetyczną wyda się wschodząca marchew lub kapusta, lecz w dzikiej krainie, wśród nowo wznoszącej się osady, marchew i kapusta większą wywołują roskosz, niżli barwa rozkwitającej się róży. Nawet kobiety i dzieci, z wyzwolonych niewolników, które z nami los dzieliły, okazywały wielkie zajęcie się uprawą ziemi, każde z nich miało swój ogród, który z największą roskoszą kopali i zasiewali.

Na swoją siedzibę wybrałem mały wzgórek, zajmujący przestrzeń sześciu morgów, ocieniony gdzie niegdzie drzewami. Okręt mój u brzegu, służył mi za dom, z którego wychodziło się na śliczny kobierzec zielonej trawy, ciągnący się kilkadziesiąt kroków, a zakończony kłębem kolczastych gruszek, i olbrzymim cienistym orzechem, który nam służył za altanę. Miejsce to było siedzibą misjonarza, znanego tutejszym mieszkańcom, pod nazwiskiem Suleimana; był on jedynym, którego zapamiętali Barisi. Grób jego, równie jak życie tych, co z zaparciem się siebie pędzili tu swoje lata, kryje zasłona zapomnienia; przykład cnót i zaparcia się był nasieniem rzuconem marnie w dzikie serca barbarzyńskiego plemienia; praca ich została bez owocu.

Po ukończeniu zasiewu ogródków naszych, udałem się na miejsce opustoszałej stacji misjonarzy. Z całej budowy, jedna cegła nie pozostała na drugiej, wszystko było do szczętu zniszczone, kilka tylko drzew owocowych rośnie dziko brzegiem rzeki, świadcząc o pobożnych rękach austrjackich misjonarzy, którzy je sadzili. Piękna aleja z drzew cytrynowych świeciła wielkiemi szczerbami połamanych gałęzi, zaścielając grunt grubym pokładem zgniłych owoców, których żadna ręka nie zerwała. Mieszkańcy okoliczni nie lubiąc tego owocu, nie raczą go nawet skosztować; mam nadzieję, że zasiewy zboża przyniosą większy pożytek, niżeli praca bezowocna nieszczęśliwych misjonarzy. Żeby dziś mogli ujrzeć wyniki swych usiłowań, pewnieby serca ich ścisnęły się z żalu, za straconym czasem i zmarnowanem dziełem ich pracy. Mieszkańcy stron tych zburzyli ładny domek misjonarski, tłukąc czerwone cegły na proszek, który zmięszany z tłuszczem, służył na smarowanie ich nagich postaci. Rezultatem długich lat pracy i nauki była śmierć wielu szlachetnych ludzi, strata pieniędzy, i upadek przedsięwziętej misji. Zamiast spuścizny duchowej, i stanu łaski, dla tych ludzi i braci, został się tylko misjonarski budynek, obrócony na powierzchowne namaszczenie skóry: dom Boży zamieniono na pomadę.

Położenie nasze stawało się wcale nie wesołe, cała okolica była nam nieprzyjazną, i chociaż pola i ogrody roskosznie się zieleniły, dając nam nadzieję przyszłych zbiorów, mimo to byliśmy teraz bardzo głodni, nie mogąc nic dostać od tutejszych mieszkańców. Kilka dni już żyjemy wróblami, w które Monsoor, mój służący, zawsze nas hojnie zaopatrza, okolica bowiem obfituje w tego rodzaju zwierzynę; są one bezwątpienia delikatnym pokarmem, ale nasze zgłodniałe żołądki upominają się o posilniejszą strawę. Tymczasem Barisi chociaż pod skrzydłem naszej opieki, śmiało mogą wypędzać swoje bydło na żyżne pastwiska, ciągnące się po naszym brzegu rzeki, na co przedtem nie mogli się odważyć, z bojaźni przed napaścią nieprzyjaznych im Loquiów, nie chcą jednak żadną miarą sprzedać nam ni wołu ni owcy, ani zaopatrzyć nas w drzewo i poszycie do budowy chat niezbędne, mimo wszelkich perswazji, które przesyłam ich scheikowi Allorron, przez mego tłumacza Tomby.

Poznałem w tem nieprzyjaznem przyjęciu nas przez plemię Baris, wpływ Abon Savoda i jego kompanji. Opóźniony mój wyjazd z Egiptu był nadzwyczaj korzystny dla handlarzy, użyczył im bowiem dość czasu do uorganizowania silnego oporu, przeciw nowym reformom. Murzyni dają się bardzo łatwo uwieść, z natury skłonni do wszelkich wad i obłudy, łatwo wierzą w złe, do którego sami są pochopni, i jak dzieci, można byle cieniem zastraszyć, parę słów nie przychylnych staje się dla nich dostatecznym argumentem, do wzbudzenia podejrzeń, względem najlepszych przyjaciół.

Pewnego dnia, gdy żołnierze moi byli zajęci około oczyszczania ziemi, Allorron ze swoimi ludźmi przyszedł również zabawiać się w rolnictwo, na przestrzeni ciągnącej się na przeciw naszego obozu, w celu utrzymania praw swoich do tutejszej gleby. Przy tej sposobności zbliżył się do nas trzymając w ręku flaszkę, przywiązaną do sznurka, dowodząc nam, że to jest kielich, do picia araku, w który musimy go zaopatrzyć. „Jak długo myślicie tu pozostać?“ zapytał nas wreszcie, dodając: „lepiej zrobicie, jeżeli powrócicie do Khartum, a ja zjem wasze zboże, gdy dojrzeje.“ Starałem go się objaśnić, że Gondokoro, od dziś dnia będzie główną kwaterą rządową, i że wojsko tu ciągle stać będzie, uprawiając znaczną część ziemi. „W takim razie do kogo należy ten kraj, do mnie czy do was?“ zapytał. Wyłożyłem mu, iż z kraju tego zostali wygnani przeważną siłą, a ja znalazłem go opustoszałym i bezludnym, teraz ziemia ta należy do wice-króla Egiptu, a oni bez mej protekcji nie śmią na niej pozostać; w razie jednak gdyby w spokoju chcieli na swym dawnym osiedlić się gruncie, z chęcią przywrócę im ich własności.

Nie wiele zważając na moją długą argumentację, dziki Sheik zapytał, pokazując na drzewo, pod którego cieniem schroniliśmy się. „Do kogo należy to drzewo?“ „Do wice-króla Egiptu, który dziś jest protektorem całej okolicy, a którego reprezentantem, do ustanowienia rządu, jestem ja.“ „W takim razie wynieście się lepiej do Khartum, my nie potrzebujemy żadnego rządu!“

Bezwątpienia, że w prawach ludów, takie przyłączenie kraju, wbrew woli jego mieszkańców, można nazwać wdarciem się w cudzą własność, a jednak gdyby zasada ta, przeprowadzoną była w całej swej surowości w historji narodów, nie byłoby postępu. Dzicy wszystkich okolic, są pochopni do sprzeczki, a polityka afrykańska daje nam jaskrawą ilustrację ciągłej wojny sąsiednich plemion.

Kraj zamieszkały przez plemie Baris, jest znacznej rozległości, ciągnie się przeszło dziewięćdziesiąt mil ang. wzdłuż, licząc z północy na południe, a chociaż ludność zamieszkująca tę przestrzeń należy do jednego plemienia, jest podzieloną na liczne gromady, z których każda z sobna podlega swemu Scheikowi, czyli naczelnikowi; Allorron był jednym z takich reprezentantów władzy w Gondokoro. Krajobraz stron tych jest dość przyjemny dla oka; rozległe przestrzenie lekko pagórkowate, pokryte są jednostajnym kobiercem zieloności, urozmaiconej w pewnych odstępach, grupami lasu, zapełnionego ślicznym budulcem; w oddali rysują się na horyzoncie olbrzymie góry od 2 do 3000 stóp nad poziom wyniesione. Z gór tych spadają liczne strumienie do Nilu, wysychają jednakże w czasie posuszy.

Gleba okolic Gondokoro jest dosyć uboga, w niejakiej jednak odległości od rzeki, roztwiera

znaczne skarby, skały piętrzące się dostarczają pięknego granitu, a góry dwanaście mil oddalone od Gondokoro, mieszczą w sobie kopalnie wybornej rudy żelaznej.

Rolnictwo w tych okolicach jest między ludem rozpowszechnione, a najwięcej uprawianem zbożem jest dura, (Sorgum vulgare*) gatunku ciemno-czerwonego, która mając nieco gorzkawy smak, nie podpada zniszczeniu. Chmary małych ptaków gnieżdżą się w tych stronach.

Zabudowania Barisów, których wsie są niezmiernie liczne, odznaczają się schludnością i niejakim gustem. Każda z ich chat jest otoczona małym dziedzińcem, wylepionym cementem, który sporządzają z gliny mrowisk białych mrówek, zmięszanej z gnojem bydlęcym i popiołem; tą masą wylepiają podwórze, które z pretensionalną utrzymują czystością. Chaty ich różnią się od zabudowań innych plemion tem, że mieszczą w środku małą rotundę, do której tylko na czworakach można się dostać. Wewnętrzne ściany tych budynków są wyplatane i starannie wylepione gliną i cementem. Spichlerze również plecione mają tylko fundament z twardego drzewa lub kamienia, dla ochrony od mrówek; dachy są poszyte trawą.

(C. d. n.)

*) Dura od niedawna uprawianą była tylko w wyższym Egipcie, a plenność jej jest tak wielka, że daje 240 ziarn czystego plonu.

KILKA SŁÓW

O DZISIEJSZEJ BELETRYSTYCE NIEMIECKIEJ

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

Zwróciła uwagę w Niemczech tragedja w pięciu aktach przez A. S. C. Wallis: „Der Sturz des Hauses Alba.“ Ale jakżeż ta tragedja jest bladą obok „Don Carlosa“ Szyllera —i „Patrie!“ przez Sardou, które do tegoż samego należą czasu i w których też same występują postacie. Treść dramatu jest taką: Don Fryderyk, syn Alby, przesadza jeszcze ojca w okrucieństwach, oblegając miasto Harlem. W tem zobaczył Anettę, córkę obywatela Steffensa i zakochał się w niej szalenie. Dziewica uniesiona uczuciem miłości swojego kraju i oburzona na srogi nacisk hiszpański, współrodaków swoich do oporu, do zrzucenia jarzma gorąco podnieca i złorzeczy Fryderykowi. Tymczasem Fryderyk wciska się w przebraniu do jej mieszkania, niby-to uciekając przed napaścią — i potrafił jej serce pozyskać. Książe Alba zostawał wtedy w Utrechcie z córką swoją Elfrydą. Ta kocha potajemnie Alfonsa, hrabiego de Vilmo, i posiada całą jego miłość. Alfonsa nowa pociąga wiara, poznaje to pater Francesco i podżega na niego Albę. Alba pragnie córkę wydać za księcia Mendoę i podmówiony przez patra Francesco wydaje wyrok śmierci na Alfonsa Vilmo — i ten ginie na rusztowaniu. Na wieść tę truje się Elfryda i umiera. Aresztowana jako burzycielka, Anetta, o której Alba wiedział, że jest kochanką Fryderyka, umiera także na rusztowaniu. Fryderyk, zdobywszy Harlem, spieszy do Utrechtu, dowiaduje się o śmierci Anetty, czyni ojcu straszne wyrzuty, łzy go — i w jego przebija się oczach. W tej samej chwili nadchodzi pismo z Madrytu, objawiające Albie niełaskę królewską i odwołanie go do Hiszpanji. Charakter żaden z kreacyj tegoż dramatu, nie jest dość wybitny albo podniosły. Djalog wlecze się. Brak dramatycznych efektów, mimo treści, która nastręczyć je mogła. Interes nie wielki i żadna postać nie przywiązuje szczególniej, czego tak gorąco doświadcza się przy powyżej wymienionych tragedjach.

O najnowszym romansie p. Hansa Wachenhusen: „Säbel und Scapulir“ (1875), powiedzieć by można, że talent szanownego autora cofnął się wstecz. Napotykamy tam także księdza katolickiego charakteru niepojętego — jak gdyby autor, kreśląc tę postać sam ze sobą był w sprzeczności. Charakter to namiętności gwałtownej, wszetecznej, brzydki — i przez fanatyzm przeklinający kobietę, która w nim namiętność rozbudziła. Widział w niej podobieństwo do swojej pierwszej kochanki i do obrazu Matki Boskiej w klasztorze, gdzie przebywał dawniej. Bo poznajemy go, jako plebana na wsi na pograniczu Alzacji. Rozczulony, roznamiętniony rzuca się przed tą dziewczyną na ziemię, z frenezją tuli się do jej kolan i woła: „Jesteś błogosławioną, boś podobna do Matki Boskiej!“ Są to sceny tak wstrętne, że książka aż z ręki wypada. Drugą postacią również niemal dziwacznie narysowaną, jest baron Trachenburg, młody i bardzo piękny. Był oficerem austrjackim i stracił majątek; potem oficerem francuskim — i dwie piękne uwiódł dziewice, warstw wyższych; następnie został kamedułą w klasztorze pod Neapolem — a po śmierci stryja znaczne objął dobra z pięknym zamkiem. Blisko tegoż miał pan Ofelius wielkie zakłady fabryczne; posiadał znaczny majątek i opinję zacnego człowieka. Miał prześliczną córkę, dla której baron całą namiętnością rozgorzał, miłością wszechpotężną — która nie uszlachetniała go jednak. Baron i pleban w bliższych z sobą zostawali stosunkach. Leontyna kocha Eryka Eberty, prawego młodzieńca wyższej umysłowości, zamożnego zarazem, który całem uczuciem piękną pokochał dziewicę. Nastaje wojna francuska r. 1870. Eberty zaciągnął się do wojska i pożegnał kochankę, rozżaloną, ale patrjotkę. W tym czasie baron oświadcza się Leontynie, która wstręt czuje do niego i jego miłość odrzuca. Wskutek wojny odbiegli wszyscy robotnicy fabrykę Ofeliusa — i jemu grozi bankructwo. Gdy na domiar złego, występuje baron z wekslami na znaczne sumy, które Ofelius u stryja pozaciągał jego! Przed niedawnym czasem zgorzała część zamku, w której była bibljoteka i archiwum; Ofelius sądził, że weksle jego spaliły się także — i z śmiertelnem przerażeniem ujrzał je teraz w ręku barona. Pugilares z temi wekslami znalazł był jeden z robotników i oddał go plebanowi, a ten baronowi go zaniósł. Ofelius został zagrożony ostateczną ruiną. Gdy otóż dnia jednego aż tyle zaszło wypadków: odbierają list, że Eberty poległ — i złamana tą wiadomością Leontyna, ratując ojca, oddaje baronowi rękę. Ojciec nie chce tej z jej strony ofiary — i wyrzuca baronowi niecnoty jego i życie wszetecznicze. Baron te zarzuty odpiera, — gdy nagle, jakoby „Deus ex machina,“ jawi się w pokoju kobieta wysoka, piękna, w czarnym ubiorze siostry miłosierdzia — i głośnem wyrzuceniem stwierdza te zarzuty. Była to pierwsza przez barona zdradzona dziewica! W czasie tej efektowej sceny wjeżdżają na dziedziniec wozy z rannymi — których ta siostra miłosierdzia doglądać miała. Pomiędzy tymi jest i Eberty!... Ofelius i Leontyna sami znoszą go z woza — bo ciężko był ranny. Baron to widzi i pożerany zazdrością, wraca do zamku. Nazajutrz, w mieście będąc, przypatruje się prowadzonym jeńcom francuskim. W tem, jeden z oficerów francuskich — jeniec także — wydobył rewolwer i trzema wystrzałami barona trupem położył: był to brat drugiej zdradzonej dziewicy. (Ale, że to jeniec wojenny miał rewolwer przy sobie?!) Eberty wyzdrowiał i zaślubił Leontynę. Wszyscy byli szczęśliwi i do majątku wrócili. Co stało się z wekslami? Niewiadomo. Pleban przeszedł do wojska francuskiego i gdzieś tam zginął. — O wieleż słabszym pod każdym względem, jest ten romans ostatni Wachenhusen'a, w porównaniu z poprzednimi! Autor wszedł także na tor dzisiejszy — i dla tego nie udała się sztuka.

Do lubionych a niezaprzeczenie i zdatnych bardzo romansopisarzy w Niemczech należy Karol Detlef. Wszakże niektóre i na język polski przełożone zostały. Chociaż to — powiedzmy prawdę — spotykaliśmy się już nieraz nie z bardzo dobrym pod tym względem wyborem. Bo zapewne i trudniej z powieści niemieckich, stosowny, właściwy, pożyteczny i sumienny dla polskiej publiczności zrobić wybór — i potrzeba wielkiej przezorności pod tym względem i ostrożności.

Przeczytaliśmy właśnie jeden ze świeżych romansów Detlef'a; „Musste es sein?“ Autor zapewne bardzo wiele przebywał w Rossji, bo zna kraj ten, zwyczaje i obyczaje wsteczne, przebiegłości rozliczne, przewrotność, oszustwa i cynizm. Romanse też jego po największej części na tem tle są osnute. W romansie, „Musste es sein?“— wprowadza Niemca plenipotenta, wierutnego oszusta, który młodego dziedzica wyzuł z majątku, a sam panem został — jak to dzieje się często; i należy się uznanie dla autora, za wypowiedzenie tej prawdy — jakkolwiek sam jest Niemcem. Oto czem jest dla podobnych indywiduów, jak ten plenipotent, „der Drang nach Osten.“ Jest w tej powieści także i Niemka, intrygantka, wyzyskująca drugich, wszetecznica i pijaczka — a dozorczyni zakładu sierot. Te biedne istoty zwolna, bardzo naturalnie, wymierały wszystkie.

Borys Stefanowicz Rosanof, doktor, człowiek wykształcony i pięknej powierzchowności, ożeniwszy się z księżną Aksiniją — niepomnego nazwiska — zdemoralizował się całkiem. Pozawiązywał stosunki z grabieżcami różnymi — za przykładem ogólnym niemal — i do wielkiego doszedł majątku. Był czułym ojcem dla ślicznej córki, Heleny, i syna młodszego; miewał i szlachetniejszego uczucia porywy — ale zarazem był i podłym. Autor znać takie w Rossji poznał charaktery.

Aksinija jest namiętną wszetecznicą, gnuśną, leniwą, niechlujną, łakomą; pochłaniającą z roskoszą najwstrętniejsze, najobrzydliwsze romanse francuskie, leżąc dni całe w brudnym szlafroku, nieuczesana, nieumyta na kanapie, w pokoju niesprzątniętym — gdzie nigdy nawet okna nie otworzono. Córka jej Helena przedstawioną jest bardzo powabnie — bo ją wychowała guwernantka Melanja, kobieta wykształcona, rozumna i szlachetna. W tej Melanji — która i piękną była — zakochał się Borys Stefanowicz i byłaby go znowu uszlachetnić potrafiła. Ale, pokochawszy go także, szlachetna i zacna, dom

jego porzuciła i gdzieś znikła bez wieści. Helenę oddano na pensję do Petersburga, zkąd po latach siedmiu z inną guwernantką do domu rodzicielskiego powraca. Poznała młodego sąsiada wielkich zalet, — i pokochała go — a był to właśnie ten sam dziedzic, którego Niemiec plenipotent wyzuł z majątku. Borys Stefanowicz kocha córkę, ale na związek z ubogim szlachcicem pozwolić nie chce, przeznaczając ją bogatemu spólnikowi zdzierstw różnych i oszustw. Wówczas to ksieni klasztoru, zacna i prawa niewiasta, znając przeszłość nikczemną tegoż spólnika, przez poczucie obowiązku religijnego, miesza się w tę sprawę, by uratować Helenę. Zakonnicą w tym klasztorze, pełną poświęceń, jest Melanja — i ksieni wysyła ją do Stefanowicza, by córkę jego od niecnego ocalić małżeństwa. Melanja i teraz jeszcze na Borysie Stefanowiczu wpływ wszechpotężny wywarła — i Helena została żoną ukochanego. To mięszanie się ksieni do spraw światowych, jakkolwiek szlachetne i potrzebne, wydaje nam się nieprawdopodobnem, zwłaszcza w Rossji, gdzie i reguły klasztorne są surowsze. Rzut oka na sprawy administracyjne, na zakłady dobroczynne, pobór do wojska — prawdziwą wykazują Moskwę.

Występuje w tej powieści jedna jeszcze kobieta, należąca do wyższego towarzystwa: stara panna, garbata, ułomna, brzydka, która cynizmem swoim zmysłowym i wszetecznością najwyższy wstręt budzi. Znać autor i takie tam poznał.

Listek z Mogiły.

Zimny wieniec dębowy,
Na cmentarzu w oddali
Krzyż owinął grobowy,
Zimny wieniec — ze stali!
Owinął w czarne sploty
Grób, kolebkę sieroty.

Przy nim — za nim — do koła
Pomniki dumne stoją;
Kwiaty wieńczą ich czoła,
Kwiaty stopnie ich stroją,
Codzień miłość je święci
Łzą, i modłą pamięci!

W Zadusznej nocy cieniach,
Wśród tłumnej ludu fali,
W lamp tęczowych płomieniach
Cały cmentarz się pali...
W jasny uścisk na ziemi
Żyjących z umarłemi!

Tylko grób ten Artysty,
Tylko grób ten samotny,
W tej nocy uroczystej,
Łzami wspomnień wilgotnej,
Tęskny skarży się z cienia
Bez lampy i wspomnienia!

Łza po darni nie spływa,
Co te zwłoki przyciska;
Z tarczy krzyża deszcz zmywa
Złote głoski nazwiska.
A o wiośnie w gęstwinie
Płacze słowik jedynie!

Sławo! i ty boleśnie
Nie dumasz na tym grobie,
Bo męczennik zawcześnie
Sprzeniewierzył się tobie...
Bo zawcześnie go siły
W walce z życiem rzuciły!

A więc cicho, jak zgasło
Serce wierne Ojczyźnie,
Wieko grobu zatrzasło...
I milczą serca bliźnie,
I sieroty łzy cieką,
Lecz daleko... daleko!...

A na sercu sieroty
Liść dębowy spoczywa,
Pali żarem tęsknoty,
I myśl z sobą porywa
Ku swym braciom — ze stali
Na ten cmentarz w oddali!

I ku życiu ofiary
Wyższej mocy skinieniem
Nęci — silniej jak czary!
Choć zabija cierpieniem...
Goryczy wróżąc chwile
I niepamięć w mogile!

Więc łez moich żar krwawy,
Niech nie dziwi was ludzie!
Wyciska je — „Liść sławy"
Nim odpocznę po trudzie
W cichym grobie, wśród cienia,
Bez lampy... i wspomnienia!...

Marzec 1875.

Marja B.

Pogadanki.

XXI.

Kilka skromnych uwag, które pozwoliłem sobie zrobić dawniej o emancypacji kobiet, wywołało taką burzę pomiędzy galicyjskiemi zwolenniczkami panny Becker, że zmuszony jestem bez wszelkich komentarzów zdać sprawę z najnowszego zdarzenia, mającego związek z tą kwestją. Oto, przedłożono parlamentowi angielskiemu petycję, podpisaną przez 600.000 wdów i dojrzałych panien Albionu i Hibernii, domagającą się udzielenia prawa wyborczego kobietom „niezawisłym" tj. pełnoletnim i nie mającym mężów. Jak widzimy z liczby podpisów, na 50 dusz ludności pod berłem królowej Wiktorji, przypada jedna kobieta, w tem znaczeniu, „niezawisła". W skutek tej petycji wniesiono w Izbie gmin *bill*, który upadł nieznaczną mniejszością głosów. Głosowali za nim sami ludzie żonaci, przeciw niemu, wszyscy wdowcy i starzy kawalerowie, a zaledwie kilkunastu mężów stanu dźwigających słodkie jarzmo hymenu ośmieliło się wotować z większością. Przepowiadają, że mniejszość pobita tym razem, z czasem stanie się większością, i że w ślad za wdowami i dojrzalszemi pannami, także i zamężne Angielki uzyskają kiedyś prawo wyborcze, czynne i bierne. Przepowiadają dalej, że ponieważ Francuzi w stopięćdziesiąt lat przyjęli od swoich północno-zachodnich sąsiadów zwyczaj ucinania głowy królom, więc też w tym samym czasie, po emancypacji Angielek, nastąpi emancypacja Francuzek. Nakoniec przepowiadają, że jakkolwiek zwyczaj ścinania królów nie rozpowszechnił się w Europie, chociaż go Francuzi wzięli od Anglików, to natomiast rozpowszechni się przyznanie praw politycznych kobietom tak dalece, że za parę wieków one wyłącznie pisać będą ustawy i zasiadać w sali redutowej gmachu skarbkowskiego. Jakie to sprowadzi zmiany w ustawodawstwie, o to nie pytałem się proroków, zdaje mi się wszelako, że tak jak teraz w owocach naszych czynności prawodawczych nie łatwo domyślеć się ręki męzkiej, tak i później będzie to na oko rzeczą wątpliwą, jakiej płci byli autorowie ustaw.

* *
*

W istocie rzeczy, da się może czuć różnica. Opowiadano mi przynajmniej, że w pewnym kraju prawodawca *generis masculini* powołany był do obmyślenia jakiego środka na to, iż nieraz reprezentacje gmin wiejskich wraz z wójtami i ich zastępcami nie mają w swojem gronie żadnego indywiduum, umiejącego czytać i pisać. Znakomity legislator po dłuższem zgłębianiu rzeczy wpadł na pomysł, że w podobnych wypadkach należy rozkazać wójtowi, ażeby sobie przyjął piśmiennego sekretarza. Wróciwszy do domu, pochwalił się przed żoną tym wynalazkiem, godnym Solona.

— Ależ, odparła małżonka, czy nie byłoby lepiej, gdyby ludzie nie umiejący czytać ani pisać, nie byli wybieralnymi na wójtów?

— A... a prawda! Jaka to szkoda, moja duszko, że ty nie byłaś ze mną na posiedzeniu komisji!

Gdyby już było po emancypacji, „duszka" byłaby zasiadła na sejmie zamiast swojego małżonka, i kraj o którym mowa, byłby miał o jedną mądrą ustawę więcej.

* *
*

U nas jeszcze niestety, petrzebaby pomyśleć pierwej o emancypacji mężczyzn, którzy jęczą w okropnej niewoli. Nie mówię tu o ich żonach, ale zwracam uwagę, że już nawet i kronikarze zaczynają znęcać się nad nimi. Despotyzm i teroryzm rozciąga się aż do stroju. Onegdaj czytałem filipikę przeciw używaniu słońcochronów, jako rzeczy, która nie przystoi mężczyźnie, i robi go niewieściuchem, pozwalając oraz przypuszczać, iż obawia się, aby się nie opalił. Ojcowie nasi nie znali słońcochronów, i mieli rycerskie twarze, ogorzałe od słońca. Ojcowie naszych ojców nie znali koszul, i nosili siermięgi, futra bezpośrednio na gołem ciele. Ojciec ich zaś pierwszy, okrywał się tylko liściem figowym, i nikt nie wspomina, by mu z tem nie było do twarzy. Logika nakazywałaby tedy powrócić do tego pierwotnego ubrania, i tylko zniewieściała moda sprzeciwia się temu.

Tymczasem nikt jeszcze nie zniewieściał, przez używanie parasola. Oficerowie wojsk angielskich nie wstydzą się bynajmniej tej osłony, a przecież podbili Indje. Trudno dojść, dla czegoby człowiek nie miał uniknąć jakiej niedogodności, skoro ma pod ręką sposób ku temu. Ale jest pewien rodzaj „tężyzny" polegającej na potępianiu parasolów i kaloszów, rękawiczek i chustek od nosa, jak gdyby największych zdrożności. Można nie używać tych przyborów, ale nie można brać za złe nikomu, że się bez nich nie rad obchodzi.

„Tężyzna" w ten sposób pojmowana, jest jednym z powodów, dla których u nas nie rozwijają się rękodzieła, przemysł i handel. Największym ideałem „tężyzny" jest nasz włościanin, nie znający ani mydła, ani grzebienia, ani klamki u drzwi, ani podłogi w chacie, ani widelca, ani żadnego podobnego „zbytku." Nie przeszkadza mu to być marnotrawcą, jak wiemy. Od tego najniższego szczebla w górę, w każdej warstwie społecznej widzimy ludzi, którzy odmawiają sobie mnóstwa rzeczy służących do komfortu, a natomiast nie żałują pieniędzy na to, co im nie przynosi realnego

pożytku. Ztąd to porządny handel, dobry zajazd, dobra traktjernia, dobry krawiec, dobry szewc itd. należą u nas do rzadkości, a o fabrykach wyrabiających na większą skalę artykuły niezbędne dla miejscowej konsumcji, ani mowy być nie może. Nie potrzebuję dodawać, że do rzeczy przynoszących realny pożytek, a już jak najmniej konsumowanych, należy książka. Intelektualne potrzeby każdego kraju wzrastają dopiero w ślad za konsumcją materjalną, i można wykazać statystycznie, że gdzie ludzie więcej dbają o prawdziwy komfort, tam więcej czytają. Arystokracja niektórych krajów nie czyta, bo zamiast komfortu, lubi tylko wystawę. Gdziekolwiek zajrzysz: do domu szlacheckiego, lub mieszczańskiego, możesz być pewnym, że im więcej w nim dbają o wygodę, tem więcej mają książek i dzienników. Prawdziwy tymczasem *junkier* zjada dwadzieścia tysięcy rocznie, ma dwadzieścia koni na stajni, trzy wózki karkołomne, liberję, półtora prześcieradła i trzy chustki od nosa, nie nosi rękawiczek ani parasola, nie jada bułek i nigdy nic nie czyta. Zważywszy tedy to widoczne oddziaływanie zamiłowania w komforcie na potrzeby literackie, dzienniki cieszyć się raczej powinne, ile razy spostrzegą objaw świadczący o powolnym upadku pierwoleśnej „tężyzny“, zwłaszcza gdy nie idzie zatem upadek męzkiego ducha. Wszak wojna 1866 i 1870 roku pokazała, że ludzie wygodnie chowani biją się lepiej, niż to zwykli byli czynić twardzi ich przodkowie!

Jan Lam.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XI.

(Ciąg dalszy).

(Na szczycie ostrokręgu. — Wnętrze krateru. — Morze dokoła. — Ani śladu ziemi. — Widok w prostej linji na wybrzeże. — Hydrografja i orografja. — Czy wyspa jest zamieszkałą czy nie? — Nazwy dane zatokom, przylądkom, rzekom i t. d. — Wyspa Lincolna.)

W pół godziny później Cyrus Smith i Harbert powrócili do koczowiska. Inżynier powiedział tylko na razie towarzyszom, że ziemia, na którą los ich wyrzucił, była wyspą i że układanie planów na przyszłość trzeba odłożyć do dnia jutrzejszego. Poczem ułożyli się wszyscy jak kto mógł do snu i „wyspiarze“ nasi używali błogiego wczasu w tej pieczarze bazaltowej, położonej na dwa tysiące pięćset stóp ponad powierzchnią morza, w noc spokojną i cichą.

Nazajutrz — 30. marca — po krótkiem śniadaniu złożonem z upieczonego „tragopana,“ objawił inżynier zamiar powtórnego wdrapania się na szczyt wulkanu, ażeby dokładnie przypatrzyć się wyspie, która miała być może dożywotniem więzieniem jego i towarzyszy, w razie gdyby się znajdowała zbyt daleko od lądu lub przynajmniej od szlaku, którym zwykły płynąć okręty przybywające w te archipelagi Cichego oceanu. Tym razem koledzy towarzyszyli mu w tej nowej wyprawie. I oni ciekawi byli obaczyć tę wyspę, która miała na przyszłość zaopatrywać ich wszystkie potrzeby.

Mogła być właśnie siódma godzina z rana, gdy Cyrus Smith, Harbert, Pencroff, Gedeon Spilett i Nab opuścili nocne koczowisko. Żaden z nich nie czuł się zaniepokojonym położeniem, w jakiem się znajdowali. Mieli wiarę w siebie, to prawda, lecz trzeba dodać, że podstawa tej wiary, zupełnie inną była u Cyrusa, a inną u jego towarzyszy. Inżynier ufał, gdyż czuł, że potrafi wydrzeć tej dzikiej naturze wszystko, co potrzebnem się okaże do życia dla niego i jego kolegów; ci zaś nie wątpili o niczem dla tego tylko, bo Cyrus Smith był przy nich. Tę delikatną różnicę poznamy później lepiej. Szczególnie Pencroff, po ostatniem zdarzeniu ze sztucznem rozpaleniem ognia, byłby nie rozpaczał ani chwili, gdyby się nawet znalazł na nagiej skale, jeśliby razem z nim był tam inżynier.

— A, ba! — zawołał — wyjechaliśmy z Richmondu bez pozwolenia władz miejscowych, to chybaby się licho uwzięło, gdybyśmy tego lub owego pięknego poranku nie wydostali się ztąd, gdzie nas pewnie nikt nie będzie zatrzymywał.

Cyrus puścił się tą samą drogą, co dnia poprzedniego. Obeszli dokoła ostrokrąg po tarasie tworzącej jakoby olbrzymie barki góry i przybyli wkrótce do otworu owej bezdennej przepaści. Pogoda była przepyszna. Słońce wznosiło się po czystym lazurze i złociło promieniami swemi wschodnią stronę góry.

Stanęli nad brzegiem krateru. Kształt jego trafnie ocenił inżynier w mroku nocnym, był to lejkowaty otwór, który rozszerzając się wznosił się do wysokości tysiąca stóp nad terasę pierwszego ostrokręgu. U spodu czeluści wiły się wąskie i szerokie strumienie zastygłej lawy, jak węże po bokach góry i znaczyły drogę, którą toczyły się niegdyś potoki wulkaniczne, aż do niższych dolin przerzynających północną część wyspy.

Wnętrzne ściany krateru, których pochyłość nie przenosiła trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni, nie przedstawiały najmniejszych trudności ni przeszkód w drapaniu się do góry.

Widać tam było ślady bardzo dawno zakrzepłej lawy, która musiała zapewne dawniej wylewać się przez otwór na szczycie ostrokręgu, zanim ta czeluść boczna nowej nie otworzyła jej drogi.

Co się tyczy głębokości tej otchłani wulkanicznej, która łączyła podziemie z kraterem, nie podobna było zmierzyć jej wzrokiem, gdyż ten ginął w ciemnościach. Ale o zupełnem wygaśnięciu wulkanu nie można było wątpić.

Zanim ósma nadeszła, Cyrus z towarzyszami swymi stanęli na szczycie krateru, na pagórku stożkowym, który wyrastał na północnym jego brzegu.

— Morze! Wszędzie morze! — zawołali razem, jak gdyby usta ich nie mogły powstrzymać tego wyrazu, który z nich czynił wyspiarzy.

W istocie, morze tylko, nic jak morze, nieprzejrzana okrągła płaszczyzna wody otaczała ich dokoła! Być może, że Cyrus wdrapując się powtórnie na szczyt ostrokręgu, miał nadzieję odkryć w pobliżu ląd jaki lub wyspę, której nie mógł dostrzedz dnia wczorajszego wśród nocnych ciemności. Lecz jak daleko sięgał widnokrąg t. j. w średnicy przeszło pięćdziesięciomilowej, nie było nic widać dokoła. Ani ziemi, ani żagla. Była to pustynia bez końca i granic, a wyspa ta zdawała się być jej punktem środkowym.

Inżynier i towarzysze jego w głuchem milczeniu przez kilka minut przebiegali wzrokiem do koła cały ocean. Oczy ich docierały aż do ostatecznych widomych jego granic. Lecz Pencroff, który posiadał tak cudowną bystrość oka, nie dostrzegł nic, a z pewnością, gdyby ziemia jaka wznosiła się na widnokręgu, chociażby tylko tak niewyraźnie jak mgła, marynarz byłby ją poznał niezawodnie; bo natura ukryła pod łukami brwi jego istne dwa teleskopy!

Z płaszczyzny oceanu przeniósł się wzrok ich na wyspę, którą ogarniali okiem od końca do końca i pierwsze pytanie, jakie wyszło z ust Gedeona Spiletta, było:

— Jak wielką może być ta wyspa?

Zaiste nie zdawała się zbyt wielką wśród tej nieskończoności oceanu.

Cyrus Smith pomyślał chwilę; zmierzył wzrokiem uważnie obwód wyspy, nie wypuszczając z rachuby wysokości, na jakiej się znajdowali, poczem rzekł:

— Przyjaciele moi, sądzę iż nie omylę się wcale, jeśli powiem, że obszar jej wynosi przeszło sto mil.

— A zatem, powierzchnia jej?...

— Trudno ją oznaczyć — odparł inżynier — jest zbyt nierówną.

Jeżeli Cyrus nie mylił się w swem obliczeniu, wyspa mogła posiadać mniej więcej tę samą rozległość, co Malta lub Zante na morzu Śródziemnem, lecz posiadała kształt bardziej nieregularny a przytem ~~mniej~~ obfitujący w rozmaite przylądki, zatoki, języki i przystanie. Kształt jej w istocie dziwacznością swoją chwytał za oczy, a gdy Gedeon Spilett na wezwanie inżyniera narysował jej kontury, uznali wszyscy, że podobną była do jakiegoś fantastycznego zwierzęcia, rodzaju olbrzymiego płetwonoga, uśpionego na powierzchni Oceanu.

Musimy zapoznać czytelników naszych z fizjonomją tej wyspy, której dość dokładną mapę sporządził natychmiast korespondent.

Wschodnia część wybrzeża, ta na której rozbitki nasi wylądowali, zaokrąglała się w duże półkole i tworzyła obszerną zatokę, zakończoną w południowo-wschodniej stronie spiczastym przylądkiem, który wystający język ziemi zakrył był przed Pencroffem, podczas pierwszej jego wycieczki. W północno-wschodniej stronie dwa inne przylądki zamykały zatokę, a pomiędzy niemi wciśniętą była wąska przystań, podobna do wpół otwartej paszczy olbrzymiego rekina.

Od północno-wschodniej ku północno-zachodniej stronie, wybrzeże zaokrąglało się w kształcie czaszki zwierzęcej i tworzyło rodzaj garbu, który czynił niewyraźnym rysunek tej części wyspy, w której środku wznosiła się góra wulkaniczna.

Od tego punktu począwszy wybrzeże ciągnęło się w dość regularnych linjach na północ i południe, z wąską w dwóch trzecich częściach jego obwodu wydrążoną przystanią, a dalej kończyło się długim ogonem podobnym do ogona olbrzymiego alligatora.

Ogon ten tworzył istny półwysep, który począwszy od wyż wzmiankowanego południowo-wschodniego przylądku wyspy, przydłużał się więcej niż na trzydzieści mil w morze i zaokrąglając się opisywał przystań szeroko rozwartą, nieosłonioną, której wewnętrzne linje stanowiły brzegi tej tak dziwnie ukształtowanej ziemi.

W miejscu najwyższem, t. j. między „dymnikami“ a przystanią na przeciwległem wybrzeżu północnym, szerokość całej wyspy wynosiła tylko mil dziesięć; ale za to największa jej

długość, od owej paszczy rekina w północno-wschodniej aż do kończyny ogona w południowo-zachodniej stronie dochodziła do mil trzydziestu.

Wnętrze wyspy przedstawiało w ogólności widok taki: cała jej część południowa, od góry aż do wybrzeża, była bardzo lesistą, za to północna jej część suchą i piaszczystą. Pomiędzy wulkanem a wschodnią stroną wybrzeża odkryli Cyrus i towarzysze jego ku największemu swemu zdumieniu, jezioro otoczone dokoła zielenią drzew, którego istnienia wcale się nie spodziewali. Patrząc z tej wysokości zdawało się, że jezioro to leżało na równi z powierzchnią morza, lecz po głębszym namyśle wytłumaczył inżynier towarzyszom swoim, że to małe zwierciadło wody musiało rozpościerać się na wysokości około trzystu stóp, gdyż kotlina jego była tylko dalszym ciągiem płaszczyzny wybrzeża.

— Zatem woda w tem jeziorze powinna być słodką? — zagadnął Pencroff.

— Oczywiście, gdyż zasilają je wody spływające z tej góry — odparł inżynier.

— Widzę małą rzeczkę wpadającą do niego — rzekł Harbert wskazując na wąski strumień, którego źródło musiało wytryskać w jednem z bocznych pasm na zachodzie.

— W samej rzeczy — rzekł Cyrus — a ponieważ strumień ten zasila jezioro, musi zatem istnieć od strony morza odpływ, którędy odchodzi zbyteczna woda. Przekonamy się o tem z powrotem.

Ta mała dość kręta nić wody i rzeka dawniej już znana, stanowiły hydrograficzną część wyspy, przynajmniej tak przedstawiała się ona oczom naszych badaczy. Łatwo jednak być mogło, że pomiędzy masami drzew, które na obu ogniskach wyspy zgęszczały się w bór nieprzejrzany, inne jeszcze strumienie wpływały do morza. A nawet sądząc po żyzności okolicy i wspaniałych okazach roślinności właściwej strefom umiarkowanym, było to bardzo prawdopodobnem. Natomiast w stronie północnej wyspy nie było śladu wody płynącej; bagnista część wyspy w stronie północno-wschodniej posiadała może wodę stojącą, lecz na tem koniec; zresztą same wydmy, sam piasek, sucha jałowość żywo odbijająca od bujnej żyzności charakteryzującej większą część wyspy.

Wulkan nie zajmował środkowej części wyspy. Przeciwnie wznosił się w stronie północno-zachodniej i zdawał tworzyć granicę między obiema strefami. W stronie południowo-zachodniej i południowo-wschodniej pierwsze schody poprzecznych pasm góry ginęły wśród mas zieloności. Natomiast na północ można było przejrzeć okiem ich rozliczne rozgałęzienia, konające zwolna wśród piaszczystej równiny. Z tej to właśnie strony, w czasach wybuchów wulkanu, potoki lawy utorowały sobie były drogę, a szerokie pasmo zastygłych pokładów lawy, ciągnęło się aż do owej wąskiej paszczęki, która w północno-wschodniej stronie tworzyła zatokę.

Cyrus Smith i towarzysze jego stali tak blisko godzinę na szczycie góry. Przed ich oczyma rozstaczała się cała wyspa, niby plan wykonany w płaskorzeźbie ze swemi rozmaitemi kolorami, z których zielony oznaczał lasy, żółty piasek, a błękitny wodę. Ogarniali ją wzrokiem całą, i tylko ta ziemia ukryta pod zielonemi gąszczami, kotliny dolin cienistych i wnętrze czeluści u stóp wulkanu, uszły ich badawczemu spojrzeniu.

Pozostawało jeszcze do rozwiązania ważne pytanie, które w szczególniejszy sposób miało wpłynąć na przyszły los rozbitków.

Czy wyspa ta była zamieszkałą, czy też nie?

Pytanie to postawił korespondent i zdawało się że można już było odpowiedzieć na nie przecząco, po tak szczegółowem zbadaniu rozmaitych okolic wyspy.

Nie było nigdzie znać śladu ręki ludzkiej. Nigdzie osady, nigdzie samotnego szałasu, ani rybołowni — na wybrzeżu. Nigdzie dym nie wznosił się w niebo i nie zdradzał obecności istot ludzkich. Prawda, że przestrzeń prawie trzystumilowa oddzielała rozbitków naszych od ostatecznych krańców wyspy, t. j. od owego ogona ciągnącego się w kierunku południowo-zachodnim i nawet oczom Pencroffa trudnoby przyszło dostrzedz w tem oddaleniu mieszkań ludzkich. Nie podobna było także podnieść tej zasłony z bujnej zieloności, która pokrywała trzy czwarte części wyspy, i przekonać się, czyli nie użyczała schronienia ludzkim osadom. Lecz w ogólności mieszkańce wysp rozsianych po Oceanie osiedlają się raczej na wybrzeżach morza, a wybrzeże zdawało się zupełnie odludnem.

Aż do bliższego zbadania tej kwesji można było przypuszczać, że wyspa była niezamieszkałą.

Lecz czy była zwidzaną przynajmniej czasowo przez mieszkańców wysp sąsiednich? Na to pytanie trudno było odpowiedzieć. W okół w pięćdziesięciu milowym promieniu łatwo mogły przepłynąć i czółenka Malajczyków i duże łodzie z jednej kłody wydrążonej, jakiemi się posługują Polinezowie. Wszystko zależało więc od położenia wyspy i od tego, czy była samotną wśród Oceanu, lub też mniej lub bardziej zbliżoną do któregoś z archipelagów. Czy potrafiłby Cyrus bez żadnych instrumentów, obliczyć jej położenie tak co do stopnia szerokości, jak i długości geograficznej? Byłoby to bardzo trudne. W tej wątpliwości zdawało się właściwem przedsięwziąć niektóre środki ostrożności przeciw możliwemu najazdowi dzikich krajowców.

Na tem zakończono obserwację wyspy, rzucono jej kształt, oceniono jej wypukłość, obliczono mniej więcej jej rozległość, rozpoznano jej stronę hydrograficzną i orograficzną. Położenie lasów i równin oznaczone zostało tylko ogólnikowo na mapie, którą wykonał korespondent. Nie pozostawało nic, jak tylko spuścić się znów na dół po stokach góry i przedsięwziąć szczegółowe zbadanie płodów tej ziemi, pod trojakim względem: mineralnym, roślinnym i zwierzęcym.

Lecz zanim Cyrus Smith dał towarzyszom swoim znak do odwrotu, odezwał się do nich, swym głosem łagodnym i poważnym, w następujące słowa:

— Oto jest, przyjaciele moi, mały płatek ziemi, na który wyrzuciła nas ręka Wszechmocnego. Tu mamy żyć, i może długo żyć. A może też przybędzie nam jaka pomoc niespodziewana, jeśliby statek jaki przypadkiem... Powiadam „przypadkiem,“ gdyż wyspa ta jest zbyt małoznaczną; nie posiada nawet przystani, którąby służyć mogła statkom za miejsce wypoczynku, i obawiam się, by nie była położoną zbyt daleko od szlaków zwykle uczęszczanych, t. j. albo zanadto na południe od drogi, którą płyną okręta zwiedzające archipelag Cichego Oceanu, albo też zbyt na północ od szlaku, którym udają się statki w drodze do Australji, przebywszy przylądek Horna. Nie chcę bynajmniej taić przed wami położenia...

— Masz słuszność kochany Cyrusie, odparł żywo korespondent. Masz do czynienia z mężami, którzy ufają tobie, ty zaś możesz liczyć na nich.

— Prawda-ż to, przyjaciele moi?

— Będę panu we wszystkim posłusznym, panie Cyrus, ozwał się Harbert, chwytając dłoń inżyniera.

— Tyś moim panem, zawsze i wszędzie zawołał Nab.

— Co do mnie, rzekł marynarz, niech się nie nazywam Pencroff, jeślibym kiedykolwiek miał się wyłamywać od czego, i jeśli pan sobie tego życzysz, panie Smith, zrobimy z tej wyspy małą Amerykę! Pobudujemy w niej miasta, wystawimy koleje żelazne, urządzimy telegrafy i pewnego pięknego poranku, gdy już wyglądać będzie jak się należy, zagospodarowaną, wycywilizowaną, pójdziemy złożyć ją w darze rządowi Zjednoczonych Stanów! Jedno sobie tylko wymawiam.

— Cóż takiego? zapytał korespondent.

— Oto, ażebyśmy się nie uważali więcej za robotników, lecz za kolonistów, którzy przybyli osiedlić się na tej wyspie!

Cyrus Smith nie mógł powstrzymać lekkiego uśmiechu i wniosek marynarza został przyjęty. Poczem podziękował inżynier towarzyszom swoim za ich zaufanie i dodał, że liczy na ich energję i na pomoc nieba.

—A teraz, wracajmy do „dymników!“ zawołał Pencroff.

— Chwilkę jeszcze cierpliwości, przyjaciele moi, rzekł inżynier. Należałoby zdaniem mojem, dać jakąś nazwę tej wyspie, podobnie jak jej przylądkom, zatokom i strumieniom, które leżą przed nami.

— Bardzo dobrze, rzekł korespondent. To nam na przysłość ułatwi porozumiewanie się między sobą co do miejscowości.

— W samej rzeczy, rzekł marynarz, to także coś znaczy, jeśli można powiedzieć, dokąd się idzie lub zkąd przychodzi. Wtedy się wie przynajmniej, że się gdzieś jest.

— W „dymnikach“ naprzykład, rzekł Harbert.

— Prawda! odparł Pencroff. Z tą nazwą, już nam było wygodniej, i mnie ona samemu przyszła do głowy. Czy zachowamy pierwszej naszej siedzibie miano „dymników,“ panie Cyrus?

— Dobrze Pencroff, ponieważ tyś ją tak ochrzcił.

— Brawo! Co się tyczy innych miejsc, to nic łatwiejszego, ciągnął dalej marynarz, który był w werwie. Ponazywajmy je tak, jak to czynili Robinsony, o których Herbert czytał mi tyle historyj: „zatoką Opatrzności,“ przylądkiem potfiszów, „przylądkiem zawiedzionej nadziei!...

— Albo lepiej oznaczamy je nazwiskami p. Smitha, p. Spiletta, Naba!...

— Mojem nazwiskiem! zawołał Nab, wyszczerzając swe białe lśniące zęby.

— Czemu nie? odparł Pencroff. „Przystań Naba“ to brzmi wybornie! Albo „przylądek Gedeona“...

— Jabym wolał nazwy zapożyczone od naszej ojczyzny, rzekł korespondent, oneby nam przypominały Amerykę.

— Zgadzam się na to, ozwał się Cyrus Smith, lecz tylko co do miejsc i punktów główniejszych, co do zatok lub jezior. Nazwijmy

*

n. p. tę dużą zatokę na wschodzie „zatoką Stanów Zjednoczonych,“ a to szerokie wcięcie na południu zatoką „Waszyngtona,“ górę na której obecnie stoimy „górą Franklina,“ jezioro które się przed nami rozpościera, „jeziorem Granta,“ nic lepszego, moi przyjaciele. Nazwy te przypominać nam będą ojczyznę naszą i wielkich naszych współobywateli, którzy ją wsławili; ale dla rzek, przystani i przylądków, które ztąd widzimy, obierzmy raczej nazwy, któreby nam przypominały ich kształt szczególniejszy. Nazwy takie silniej wdrożą się nam w pamięć i będą zarazem praktyczniejsze. Kształt samej wyspy jest zbyt dziwaczny, ażebyśmy mogli dać jej jaką nazwę obrazową. Co się tyczy potoków, których jeszcze nie znamy, rozmaitych części lasu, które zwiedzimy później, przystani, które poodkrywamy w przyszłości, będziemy je chrzcić w miarę, jak je będziemy poznawali.

Zgoda przyjaciele?

Wniosek inżyniera został jednomyślnie przyjęty. Przed ich oczyma leżała cała wyspa, rozciągnięta jak mapa jeograficzna. Nie pozostawało nic, jak tylko poznaczać nazwiskami wszystkie te kąty wewnętrzne i zewnętrzne, wszystkie wklęsłości i wypukłości. Gedeon Spilett miał wszystkie te nazwy po kolei spisywać i tym sposobem miała być oznaczoną cała nomenklatura jeograficzna wyspy.

Naprzód nazwano obie zatoki i górę, wedle propozycji inżyniera, „zatoką Stanów Zjednoczonych,“ „zatoką Waszyngtona“ i „górą Franklina.“

— A teraz — ozwał się korespondent — zaproponowałbym nazwać ten półwysep, który się ciągnie w południowo-zachodniej stronie wyspy, „półwyspem węża“ a ogon zakręcony na jego końcu „przylądkiem jaszczurczym,“ bo zaprawdę wygląda jak ogon jaszczurki.

— Zgoda — rzekł inżynier.

— Teraz ten drugi koniec wyspy — rzekł Harbert, tę zatokę tak dziwnie podobną do rozwartej szczęki, nazwijmy „zatoką rekinów.“

— Brawo! — zawołał Pencroff — ażeby uzupełnić obraz, nazwijmy obie części tej szczęki „przylądkiem dwóch szczęk.“

— Ależ tam są dwa przylądki — zauważył korespondent.

— Więc dobrze! — odparł Pencroff — będziemy mieli „przylądek górnej szczęki północny“ i „przylądek dolnej szczęki.“

— Jużem je zanotował — rzekł Gedeon Spilett.

— Pozostaje jeszcze ochrzcić róg południowo-wschodniego krańca wyspy — rzekł Pencroff.

— To znaczy koniec „zatoki Stanów Zjednoczonych?“ — zapytał Harbert.

— „Przylądek ostrego szpona“ — zawołał w tej chwili Nab, który chciał także zostać chrzestnym ojcem jakiego kawałka swej nowej ojczyzny.

I w istocie udało się Nabowi wynaleźć doskonałą nazwę, przylądek ten bowiem przedstawiał wyraźnie olbrzymie szpony fantastycznego zwierzęcia, którego obrazem była ta dziwnego kształtu wyspa.

Pencroff nie posiadał się z radości, że wszystko szło tak wybornie, i wkrótce z podniesionych wyobraźni naszych „wyspiarzy“ wysnuły się następujące nazwy:

Rzekę, która dostarczała osadnikom wody do picia i niedaleko której spadł był balon, nazwano „Dziękczynną“ — jako akt podzięki dla Opatrzności.

Wysepkę, na którą najpierw wyrzuceni zostali, przezwali „wysepką wybawienia.“

Terasę rozpościerającą się na szczycie ściany granitowej, ponad „dymnikami,“ skąd był widok na dużą zatokę, ochrzcili mianem „wielkiej terasy.“

Wreszcie owe nieprzebyte masy lesiste pokrywające „półwysep węża,“ nazwano borem „Zachodniej Ręki.“

Na tem zakończono nomenklaturę widzialnych i znanych części wyspy, którą miano uzupełniać w miarę nowych odkryć.

Co się tyczy czterech kierunków astronomicznych, inżynier oznaczył takowe w przybliżeniu podług wysokości i położenia słońca, z czego się okazało, że „zatoka Stanów Zjednoczonych“ i „Wielka terasa“ leżały na wschodzie. Nazajutrz jednak spodziewał się Cyrus, stwierdziwszy wprzód punktualnie godzinę wschodu i zachodu słońca, a następnie zdjąwszy jego położenie w połowie czasu między wschodem a zachodem, oznaczyć dokładnie północną stronę wyspy, z powodu bowiem, że wyspa ta leżała na południowej półkuli świata, słońce w kulminacyjnym punkcie swego biegu, stało na północy, a nie na południu, jak to się na oko zwykło dziać w krajach położonych na półkuli północnej.

Wszystko było już ukończone i wyspiarze nasi mieli właśnie spuszczać się na dół z „góry Franklina“ i wracać do „dymników,“ gdy nagle zawołał Pencroff:

— Ależ to z nas roztrzepańce nie lada!

— A to czemu? zapytał Gedeon Spilett, który właśnie schował był swoje notatki, gotów do drogi.

— A wyspa? Jakto! wszak zapomnieliśmy ją ochrzcić!

Harbert zaproponował, ażeby przezwać ją nazwiskiem inżyniera, a reszta kolegów byłaby niezawodnie przyklasnęła temu wnioskowi, gdyby Cyrus Smith nie był się odezwał:

— Nazwijmy ją imieniem wielkiego naszego obywatela, który walczy właśnie w obronie jedności amerykańskiej! Nazwijmy ją wyspą Lincolna!

Trzy głośne „hurra!“ odpowiedziało na tę propozycję inżyniera.

Tego wieczora, zanim ułożyli się do snu, gwarzyli nowi osadnicy o swej oddalonej ojczyźnie. Rozmawiali o tej straszliwej wojnie, która ją zlała krwi potokami; wierzyli silnie, że Stany Południowe wkrótce zostaną pokonane, a sprawa Północy, sprawa święta i sprawiedliwa, odniesie tryumf, dzięki Grantowi i Lincolnowi!

Działo się to 30. marca 1865 roku i rozbitki nasi nie domyślali się wcale, że w sześć dni później, miała się spełnić w Waszyngtonie zbrodnia straszliwa i że w sam Wielki Piątek Abraham Lincoln miał zginąć od kuli dzikiego fanatyka.... (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Pamiętniki Wawrzyńca hr. Engeströma; pamiętników XVIII wieku tom XV; przekład J. I. Kraszewskiego. — Nakładem J. K. Żupańskiego; Poznań — 1875.*)

(*Dokończenie.*)

Pamiętniki swoje rozpoczyna Engeström od podróży dyplomatycznej do Wiednia. Panujący wówczas w Austrji cesarz Józef II. podług zapisków autora w niebardzo się korzystem przedstawia świetle. Próżny, drobiazgowy, naśladujący we wszystkiem Prusy i Fryderyka II. nie był wcale reformatorem, za jakiego go usiłowano przedstawić. Reformy, które zaprowadzał wypływały z chwilowego jego usposobienia, a nie z przekonania. Niektóre jego rozporządzenia, uchodzące za liberalne były skutkiem nieczego innego, jak tylko dumy. Weźmy przykład. Cesarz dozwolił klasom średnim i pospólstwu uczęszczać do ogrodu Augarten, który dotychczas był tylko dla szlachty przeznaczony. Gdy mu z tego powodu czyniono uwagi, miał odpowiedzieć: „Gdybym ja szukał towarzystwa równych mi tylko ludzi, musiałbym się chyba zamknąć w grobach cesarskich.“ Arcyksiężniczki uważał prawie za święte, zajmujące miejsce tuż obok Matki Boskiej (Die Erzherzoginen sind nächst Mutter Gottes). Kilka anegdot zebranych przez Engeströma, których dla braku miejsca powtarzać nie możemy, świadczą bardzo wymownie o tchórzostwie Józefa II. Inne anegdoty przedstawiają cesarza jako dziecko, któremu dano berło do ręki i reformy jego, były to kaprysy orjentalnego despoty, a jeżeli niektóre z pomiędzy nich były rzeczywiście praktyczne, to należy przypisać duchowi czasu, a nie osobistości cesarza; natomiast inne były istną parodją reform zaprowadzanych przez inne mocarstwa. O słynnym ministrze Kaunitzu, który nas najwięcej mógłby obchodzić, nie wiele znajdujemy szczegółów w pamiętnikach, a te które się znajdują, są zbyt drobiazgowej natury, abyśmy na nie uwagę zwracać mogli. Tem mniej mogą nas jeszcze obchodzić szczegóły o rozmaitych osobistościach na dworze Józefa II. nie mające żadnej styczności z naszemi dziejami. W końcu grudnia 1787 przywiózł Engeströmowi niejaki p. Bild rozkaz udania się w misji dyplomatycznej do Polski, i z początkiem r. 1788 autor naszych pamiętników puścił się w drogę. W Krakowie zabawił jeden dzień, zwidził Wieliczkę, której czarownego widoku kopalni dosyć nachwalić się nie może, i ruszył dalej ku Warszawie. Podczas noclegu w Krakowie przestraszył się nieco. Gdy się zbudził, pisze, ujrzał nad swojem łóżkiem, stojącą postać, ubraną w strój, jakiego czarnoksiężnicy używali. Zgadnijcie kto to był taki? Był to żyd, faktor, a baron ujrzawszy poraz pierwszy taką postać, wziął go za czarnoksiężnika.

Dnia 28 stycznia 1788 stanął w Warszawie. Od tego miejsca rozpoczyna się najciekawsza dla nas część „Pamiętników“ ciągnąca się do 145 stronicy tomu. Oprócz wielu szczegółów charakterystycznych o politycznych osobistościach w Warszawie, znajdujemy w tej części „Pamiętników“ kilka dyplomatycznych not oryginalnych, mających historyczną wagę. W ocenienie not, jako materjału historycznego nie pozwala się wdawać cel naszego sprawozdania, zamiast tego wolimy przytoczyć niektóre charakterystyczne szczegóły o wybitnych osobistościach, których w „Pamiętnikach“ jest bardzo wiele. O słynnym Tadeuszu Czackim znajdujemy w „Pamiętnikach“ następujący charakterystyczny ustęp. „Zdaje mi się, rzekł do niego Engeström, iż Polacy powinni czuć całą niedogodność obecnego (staroszlacheckiego) urządzenia i życzę im, aby się go tak, jak mój kraj, pozbyć potrafili.“ — „Co do mnie, rzekł Czacki, wolałbym może być niewolnikiem obcego mocarstwa aniżeli własnego króla,“ (Chodziło właśnie o powiększenie prerogatyw tronu.)

Jeżeli człowiek tak uczony i taki patryjota jak Czaki, odezwał się z takiem zdaniem, które obecnie każdy by nazwał zdradą ojczyzny, jak zaślepionym musiał być ogół szlachty? — Króla Stanisława Poniatowskiego charakteryzuje Engeström w ten sposób: „Zbywało mu zupełnie na charakterze i energji. Rozrzutnym był, nie umiejąc być wspaniałym. Dawać nie lubił, ale odmówić nie umiał. Nie był złośliwym, ale mścił się dziecinnie w drobnostkach. Nie był dobrym, ale tak słabym, że często mógł za dobrego uchodzić. Nie wiem, czy miał tyle odwagi osobistej, co jego bracia, lecz brakło mu odwagi ducha i dawał się prowadzić wszystkim, co go otaczali, co się zbliżali do niego, po większej części kobietom, albo wpływowi płci ich lub silniejszemu hartowi ulegając. Upodobanie w kobietach i zalotność była w nim namiętnością najsilniejszą, panującą. Pragnienie posiadania wszystkich pięknych kobiet, jakie spotykał i płochość, z jaką je potem porzucał, przyczyniły mu nieprzyjaciół wielu. — Król jakim go tu odmalowałem nie miał zdolności do uszczęśliwienia kraju, to pewna; ale posiadał wszystkie świetne przymioty, które mu wybornie monarchiczną rolę reprezentacyjną spełniać dozwalały. Piękny, miły, prześlicznie mówiący po polsku, po łacinie, po niemiecku, po włosku, po francusku i po angielsku, doskonale świadom wszystkich nowinek literackich i wszelkich nowych instytucyj obcych krajów, cudzoziemcom rozmową swą imponował — czarował ich.“ Oto główne punkta i charakterystyki króla i konterfekt ten zgadza się najzupełniej ze szczegółami zawartemi w innych pamiętnikach. Ta zgodność zapatrywania się na króla wszystkich pamiętnikarzy, sprawia, że ze wszystkich królów polskich, Stanisława Augusta znamy obecnie, tak dobrze, jakby był osobistością nam współczesną. Jak uległym dla Moskwy i słabym był król Stanisław, wiadomo powszechnie. Oto smutna ilustracja upokarzającego stanowiska króla w obec ambasady moskiewskiej. „Raz, gdy książe Repnin objadował u króla, rozmowa padła na wypadki, w których ludzie zmuszeni bywają ratować się od głodu, rzucając do zatrudnień, stanowi ich nieodpowiednich, ale do których czują się usposobieni.— Ja, rzekł biskup Młodziejewski, zostałbym nauczycielem w szkole. — Co do mnie — odezwał się król, prawdziwie nie wiem, jakbym sobie w takim razie dał radę. — Radziłbym waszej królewskiej mości, zostać tancmistrzem, podchwycił ks. Repnin.“ I król polski, następca Chrobrych, Zygmuntów i Batorych zniósł tę obelgę z uśmiechem! — O ogromnym wpływie Rosji nie tylko na króla, ale i na cały naród prawie świadczy najlepiej to, że gdy Engetröm zaczął w imieniu swego mocarstwa dyplomatyczną utarczkę z posłem rossyjskim, drzwi wszystkich domów, w których dotychczas go przyjmowano, zamknęły się przed nim. Z charakterystyki wielu osób, zwrócić musimy uwagę na to, co pisze Engestöm o królu de facto ówczesnej Polski, ambasadorze rossyjskim, hr. Stackelbergu. „Hr. Stackelberg mały był i otyły. — Fizjognomję miał nie piękną wcale, ale pełną wyrazu i inteligencji. Znać na nim było, że życia nie oszczędzał, starszym daleko wydawał się, niż był w istocie. W towarzystwie przyjemny był i wesoły... W sposobie obejścia się zachowywał powagą, która przeradzała się w nieznośną dumę, szczególniej względem tych, których podobało mu się lekceważyć i nad nimi się znęcać. Daleko grzeczniejszym był względem obcych, aniżeli Polaków. Z pomiędzy nich więcej szanował tych, którzy sami szanować się umieli (to bardzo naturalne!) niż takich, co nikczemnie i podle starali mu się przypodobać i biegali około niego. Z tymi obchodził się nie lepiej, jak ze swoimi lokajami. Żadnych okrucieństw i gwałtów, któremi pamięć swą w Polsce uwiecznili Saldern i Repnin poprzednicy jego, nie dopuścił się Stakelberg w czasie swojego poselstwa w Warszawie. Kilkanaście wierszy niżej tak dalej charakteryzuje Engeström Stackelberga:

„Duma jego i nadęcie były pomimo to nie do zniesienia, ale też trzeba niepospolitego charakteru, ażeby ją takie powodzenie nadzwyczajne nie zawróciło. Przez lat siedmnaście nawykłym był widzieć wszystko płaszczącem się przed sobą, częstokroć, aż do najwyższego upodlenia. Trudno mu było uwierzyć, że się to kiedykolwiek zmienić mogło. Wszystko się do rewolucji przygotowywało do koła: ślepym był i uwierzyć w nią nie mógł. Był to wielki kobieciarz.“ Taką dosadną i szczegółową charakterystyką po większej części posłów mocarstw zagranicznych zajęty jest cały ustęp „Pamiętników“ z czasu pobytu Engeströma w Polsce. Szczegóły te są nadzwyczaj ciekawe, jak to mógł czytelnik osądzić z przytoczonych ustępów, które podaliśmy na próbę. Ażeby dać wyobrażenie o ważności wszystkich tych szczegółów, musielibyśmy chyba całą tę część „Pamiętników“ przedrukować. Ograniczamy się tedy na tem, cośmy przytoczyli. O Polakach, a przedewszystkiem o wybitniejszych przedstawicielach narodu, mało znajdujemy w „Pamiętnikach“ szczegółów. Szkoda wielka, bo autor jako sam należący do stronnictwa patrjotycznego, znał najlepiej twórców konstytucji 3. maja.

Engeström opuścił Warszawę dnia 28go września 1791, aby już więcej do niej nie powrócić. Od strony 145 „Pamiętniki“ jego traktują o innych krajach, przez które w misjach dyplomatycznych podróżował — szczegóły odnoszące się do Polski, spotykamy w dalszym ciągu „Pamiętników“ tylko sporadycznie rozrzucone i nie będące wielkiej wagi dla naszej historji.

Z tego, cośmy napisali, czytelnik może sobie wyrobić przekonanie o ważności ogłoszonych „Pamiętników.“ Dla nas są one nadzwyczaj ciekawe i pouczające, i przynoszą prawdziwą chlubę swemu autorowi. Przedstawia on się w nich nie tylko jako bezstronny sędzia ludzi, zręczny dyplomata i prawdziwy przyjaciel Polski, ale także jako człowiek szlachetnych zasad, poczciwy i ludzki. Z każdego zdania przebija się szlachetny sposób jego myślenia: dyplomacja dla niego nie była celem do dobicia się potęgi i sławy, ale środkiem, aby uciśnionych wspierać, a nieszczęśliwym dobrze czynić! Dyplomata taki — to fenomen. Takiego dyplomatę mogła tylko wydać spokojna i poczciwa Szwecja — takiego dyplomatę naturalizować i za swego syna przyjąć mogła tylko odradzająca się Polska.

B. Cz.

Listy z Niemiec.

IV.

(*Dokończenie*).

Berlin w Kwietniu 1875.

Kto może, ma chęć i nie odstrasza się tytułem, niech odczyta bardzo żywo i ciekawie napisane *Bilder und Studien zur Geschichte vom Spinnen, Weben, Nähen* (Berlin 1875) Hermana Grothe. Rzecz to wprawdzie technologiczna, ze względu jednak na historję i postęp wynalazków bardzo interesująca. Ile to się na ten nasz dzisiejszy dobrobyt złożyło szczęśliwych pomysłów, chybionych przedsięwzięć, nędzy, bohaterstwa, wiedzy, genjuszu! Ledwie to wszystko myślą objąć można. Jak smutnie, że my nie przyjęliśmy w tym szlachetnym mozole wyraźnego udziału! Wśród tłumu znanych dziejom postaci nie ma w książce Grothe'go ani jednego Polaka. Nie reprezentujemy w niej nawet tyle, co nisko przez autora dla przemysłu cenione kobiety. O tych bowiem ostatnich, mimo swych sympatji dla niemieckiego wyzwolenia, wydaje taki wyrok: „Kobieta przyczyniła się bardzo mało do wykształcenia rzemiosł i technicznych zajęć, a nawet tych, które jej oddawna przyznano, nie posunęła lub powstrzymała w rozwoju. Duch kobiecy nie zdołał nigdy wznieść się do tych szerokich i bystrych kombinacyj myślowych, jakich wymaga postęp rzemiosł i techniki. Jedynym wyższym rozwojem pracy w jej ręku jest wzniesienie wyrobów na stopień drobiazgowej sztuczności. Inicjatywa należała zawsze do mężczyzn. Praca kobiet zajmuje i zająć może tylko miejsce podrzędne i jako taka nie jest nigdy samodzielną, postępującą, nowemi poglądami ożywioną, lecz od pomysłów męskich zależną i w swem znaczenia niższą. Kobieta nie będzie mogła nigdy stanąć w pracy po nad swem biernem lub warunkowo czynnem stanowiskiem nawet wtedy, gdy dalszy pochód oświaty zrówna ją w wykształceniu z mężczyzną. Nic bowiem nie zmieni jej niższych z natury uzdolnień“. Tak brzmi potępienie na waszą, szanowne czytelniczki, pracę! Że autor ma słuszność gdy wykłada fakta, tego mu nikt nie zaprzeczy, że jednak z kwestją przyszłości obchodzi się jak Aleksander W. z gordyjskim węzłem, to znowu nie ulega wątpieniu. Po co takie i tym podobne proroctwa przepowiadające ze stanowczością, co będzie gdy np. kobiety otrzymają równe z mężczyznami wykształcenie? Czy my dla tego rodzaju dowodzeń posiadamy taki rachunek podobieństwa, któryby nam pozwolił obliczyć chociaż przybliżoną prawdę? Bynajmniej. Możemy się pomylić o całą różnicę fałszu od prawdy. Najrozumniejsza więc droga nie wróżyć. Czem kobiety będą za pół wieku? Tem czem będą. Może nawet czemś wyższem od mężczyzn. Kto wie!...

Przypomniawszy sobie wrażenia, jakich doznajemy czytając każdy nowo opublikowany list któregokolwiek z naszych wielkich poetów, łatwo pojmiemy sympatję publiki niemieckiej do świeżo ogłoszonej korespondencji Schillera. Ogłoszono ją równocześnie w dwu różnych zbiorach. Wendelin von Maltzahn wydał: *Schillers Briefwechsel mit seiner Schwester Christophine und seinem Schwager Reinwald* (Leipzig 1875), zaś J. H. Hennes inną kolekcję p. t. *Fischenisch und Charlotte von Schiller* (Frankfurt 1875) Zbior pierwszy jest ważniejszy gdyż zawiera własnoręczne listy poety, które przytem rzucają jeszcze światło na jego rozmaite stosunki literackie. Wydawca dostał je od zmarłej niedawno na „szylerowski kaszel“ córki poety. Dla obcego czytelnika nie przedstawiają one interesu w tym stopniu, w jakim go przedstawiają dla Niemca, zwłaszcza zajmującego się krajową literaturą. Ów wspomniany w tytule szwagier, Reinwald, był autorem wielu poezyj, które Schiller'owi do przejrzenia posyłał, które są z tej racji przedmiotem znacznej części listów. Druga kolekcja ma zupełnie inny charakter. Tu żona poety koresponduje z najbliższym przyjacielem ich domu, Fischenisch'em, prof. prawa w Bonn. Trudno o bardziej ciepłą, jasną i pogodną atmosferę nad tę jaka otacza stosunek tych trojga ludzi. Zwłaszcza żona Schille'ra ze swemi silnemi i czystemi uczuciami dla przyjaciela, jest czemś w tej korespondencji tak sympatycznem i dodajmy oryginalnem, że czytamy jej słowa z nadzwyczajnem zainteresowaniem. Jestto niezmiernie rzadki przykład silnej przyjaźni pomiędzy mężczyzną a kobietą, stosunku którymi mimo swych silnych węzłów nie krył i nie zdradzał miłości.

Nie do niemieckiej wprawdzie literatury należy wydana w Lipsku książka p. t. *Opyt fonetiki rezjańskich govoruw* J. Baudoeina de Courtenay, uważam jednak za stosowne podać o niej wiadomość

z dwu względów: naprzód jest jedyną pracą*) w swoim rodzaju, a powtóre pracą uczonego, który jest z pochodzenia Polakiem. Autor ten jako lingwista, jeśli wierzyć mamy jego naukowemu rozgłosowi i sądom najpoważniejszych specjalistów, okazał wyjątkowe uzdolnienie i wyjątkową wiedzę. Sama wszakże natura jego badań usunięta daleko po za sferę, do której z rozmaitych stron nauki spływają tak zwane pojęcia popularne, nie dała i nigdy może go nie da poznać szerszej publiczności. W Polsce inaugurowała jego sławę praca po rossyjsku napisana: „O starożytnym polskim języku.“ W czasie swoich ciągłych podróży między południowymi Słowianami zbadał masę drobnych językowych odmian, często zaledwie z nazwiska znanych. Jedną właśnie z takich odmian jest dyjalekt maleńkiej grupy słowiańskiej, zajmującej Rezyję i pomięszanej z rozmaitemi głównie romańskiemi pierwiastkami. Zbadaniu fonetyki tego dyjalektu poświęcił swą ostatnią pracę. Ile ona jest naukowo warta, powiedzieć nie umiem, gdyż się na tem nie znam, a kto wie, czy jedynym kompetentnym jej sędzią nie jest sam... autor. Zwrócę wszakże uwagę na jedną stronę tej pracy. Nigdy może nieśmiertelne przekonanie Sokratesa o swej i cudzej niewiadomości nie doczekało się wyraźniejszego powtórzenia jak w naszych czasach. Współcześnie widzimy w nauce cały szereg umysłowych olbrzymów, którzy co chwila z pokorą greckiego mędrca wyznają, że wiedzą bardzo mało. Ta wspaniała skromność tak silnie na swem jasnem tle odbija ciemną pyszałkowatość niedouków, że stała się dziś w przeciwstanieniu do nich charakterystycznem znamieniem wyższej wiedzy i zdolności. Przypomnę tylko Darwina, Helmholtza itp. Tenże sam rys pewnej surowości względem siebie spotykamy w ostatniej pracy Baudouina. Ani jeden krytyk nie osądzi go tak ostro jak on sam siebie we wstępie osądził. Gdyby jaki literacki spekulant posiadał ten kapitał nauki i wykopał gdzieś tyle nieznanych językowych faktów, umiałby zrobić taki interes szerokiego rozgłosu, takby zaimponował wszystkim swą oryginalnością, takby zlajał całą Europę za to że o Rezji nic nie wiedziała, żeby mu ta jedna operacja wystarczyła na zakupienie sobie przynajmniej na ciąg życia wielkiej sławy. Baudouin nie umiał tych szans wyzyskać i otwarcie zaliczył się do małowiedzących. Och, kiedyż dojdziemy do tej błogosławionej doby, w której będziemy mieli wiele-wiedzących... troszeczkę.

O ile mnie wiadomo, Baudouin jest profesorem uniwersytetu w Kazaniu, gdzie odsługuje stypendja, co mu nie pozwoliło podobno przyjąć ofiarowanej katedry w Krakowie. Szkoda! Kto wie czy go nie straciła zarazem polska literatura. Dotąd bowiem głównie publikuje swe prace po rossyjsku, a zdaje się, że ciągle będzie to samo robił. Żal bierze, myśląc, jak polskie zdolności wysługują się obcym. Ileż ich wywieziono do Niemiec! Winny temu trochę losy a więcej my sami. Uniwersytety galicyjskie nie umieją i nie starają się nabywać młodych polskich uczonych. Wierzajcie czytelnicy, że kiedy mi doniesiono z Warszawy iż jeden z najpotężniejszych umysłów matematycznych nowszej generacji, Władysław Gosiewski, autor „Mechaniki“ wydawanej nakładem Towarzystwa Nauk Ścisłych w Paryżu, o której od wi lu specjalistów słyszałem entuzjastyczne uniesienia, że ten człowiek pisze ceduały czy coś podobnego w biórze kolei Warszawsko-Wiedeńskiej za trzydzieści czy czterdzieści rubli miesięcznie — zdawało mi się, że marzę. Jest to fakt, w który tak trudno uwierzyć jak trudno o nim mówić. Dodam więc tylko: szanowne „polskie“ uniwersytety rachujcie się uważniej z polskiemi siłami umysłowemi, bo możecie straszną na siebie ściągnąć odpowiedzialność za każdą, która zmarnieje lub zniechęcona obcym interesom się odda, i do obcych się przywiąże. Już własna moja pamięć zanotowała mi kilka wypadków, z którychby się nasze Wszechnice naprzód odmyć usiłowały. Niech pamiętają, że przyszłość w swych sądach nie będzie robić ceremonji i — gdy tego zajdzie potrzeba — okrutnie potępi.

Na zakończenie mego listu wracam się do wypadku trochę podstarzałej daty, którego jednak skutki są bardzo świeże. Idzie mi o groźbę posła Taczanowskiego w niemieckim sejmie. Na rachunek tej sprawy poznańska i galicyjska prasa napisała tyle sentymentalnych bzdurstw, że gdyby je ktoś chciał wziąć za wykładnik naszych politycznych uzdolnień, musiałby nam odmówić wszelkiego w tej mierze zmysłu. Mojem zdaniem p. Taczanowskiego nie było za co wielbić ani ganić, gdyż jego frases ani nas od Niemiec oderwał ani do Rossji przyłączył. Jako poseł i człowiek miał p. T. wszelkie prawo iść za głosem własnych przekonań, gdziekolwiekby one go poprowadziły. Na ten raz poprowadziły go lepiej, niż jego oponentom a nawet może jemu samemu się zdawało. Gdyż o ile jego groźba absolutnie nic złego nie zrobiła, o tyle bez wiedzy o swej skuteczności stała się bardzo dobrym alarmem. Tym wszystkim, którzy rzucają potępiające słowo na wiatr, radzę za moim przykładem przejrzeć trzydzieści kilka niemieckich gazet z ostatnich miesięcy, a wtedy łatwo się przekonają, że wszystkie razem wzięte demonstracje poznańskie nie napędziły rządowi ani części tego strachu co jedno odezwanie się posła Taczanowskiego. Był to więc politycznie biorąc manewr bardzo ważny albo raczej bardzo szczęśliwy. Ażeby go zaś z tej strony dojrzeć, trzeba tylko umieć myśleć chłodno a nie namiętnie. Na nieszczęście naszym politykom brak tej cnoty.

Ale..

*) Do *Fonetyki* dołączył autor w osobnej książce *Rezijańskij Katichizis*, który znowu jest pierwszym drukowanym a jedynym piśmiennym okazem tej mowy.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Antoniego Edwarda Odyńca „Listy z podróży“ (z Warszawy do Rzymu). Tom I. II. Warszawa. 1875.

Czasy uniwersytetu wileńskiego stanowią najpiękniejsze karty umysłowego rozwoju w Polsce. Pierwsza w języku polskim geografja matematyczna, pierwsza fizjologja, pierwsza chemja, pierwsza astronomja, pierwsza ekonomja polityczna były napisane i ogłoszone przez profesorów i wychowańców tej szkoły. Uniwersytet wileński wydał świetne pokolenie Chodźków, Czeczotów, Danilowiczów, Domejków, Jeżowskich, Kowalewskich, Malewskich, Mickiewiczów, Odyńców i Zanów. Stosunki braterskiego przywiązania, serdeczności i węzły koleżeńskie w nim zawiązane nie rozbiły się nawet wtedy, gdy los tę jednolitą falangę rozrzucił po całym świecie; gdy Mickiewicz przebywał w Połądze, jeden z Chodźków na Kaukazie gdzie pierwszy mierzył szczyty Araratu, gdy Kowalewski nad Wołgą układał pierwszy słownik tatarskiego języka, gdy Lelewel zamieszkiwał w Brukselli, Pietraszewski w Teheranie a Domejko w Chili. Tym to węzłom serdecznym zawdzięczamy wspomniane na czele listy z podróży z Warszawy do Rzymu, pisane do dwócn przyjaciół: Juljana Korsaka i Ignacego Chodźki. Prócz wrażeń, jakie autor w podróży odbierał, zawiera książka jego mnóstwo szczegółów odnoszących się do owej wileńskiej plejady. Część tych listów odnoszącą się do pobytu w Wejmarze przetłumaczył prof. Bratranek w Krakowie na język niemiecki. Niemcy tym razem przyjęli tę publikację z wielkim zapałem — nazywając ją „skarbem ukrytym“ tyle bowiem szczegółów wiernie odmalowanych znaleźli o Göthem, o którym Niemcy całą literaturę spisali. O ile skwapliwiej myśmy chwytać powinni każdy rys obrazu owej promiennej doby, tak wiernie w listach Odyńca nakreślony. Teofil Lenartowicz w liście ogłoszonym w warszawskim „Kurjerze codziennym“ w r. 1871 tak się o tych listach wyraża: „Część listów z podróży czytałem w „Kronice Rodzinnej“ i nacieszyć się nie mogłem dowcipami i fantazją polską. Listy Heinego przy tej swobodzie niewymuszonej, jakże się wydają pretensjonalne! Listy Betiny Arnim za patetyczne, pani de Sevigné za dworskie i drobiazgowe. Jest to w swoim rodzaju arcydzieło, jakiemu równego nie posiada nasza ani żadna literatura; pisząc p. Edward Antoni. nie wiedział że był prawdziwie inspirowanym, ale też tylko tak powstają pieśni ludu, epopeje i wszystko co ma pozostać.“

— Obrazki Syberji przez Ludwika Niemojowskiego ilustrował E. M. Andriolli. Warszawa. 1875.

Syberja zajmuja trzecią część Azji; przy końcu XVI w. została pobitą przez kozaka dońskiego Jermaka; liczy teraz 4 milj. mieszkańców. Pierwotni mieszkańcy (Samojedzi, Wogule, Ostjacy, Tunguzi i Burjaci) wyznają religję pogańską, trudnią się rybołówstwem, polowaniem, hodowaniem reniferów, bydła rogatego i koni, stosownie do tego w jakim osiedli pasie. Autor poświęca pierwszy oddział tym pierwotnym mieszkańcom Syberji, opisując ich stan przed przyłączeniem do państwa rossyjskiego pod względem obyczajowym, językowym, zajęcia i koczowiska; zastanawia się dalej nad wpływem, jaki cywilizacja na tych ludach już wywarła i przychodzi do wniosku, że gdy cywilizacja, wyciągnąwszy aż w te strony podbiegunowe żelazne ramiona kolei złączy Syberję z resztą świata, jej przyszłość może być wielką i świetną. Następne rozdziały poświęcił autor studjom zoologicznym, w których wprawdzie nie systematycznie, ale mimo to bardzo zajmująco opisał całą faunę syberyjską, i kończy poglądami ekonomiczno-obyczajowemi.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka, literatura i nauka.

Lwowska wystawa sztuk pięknych, urządzona jak zwykle w sali Domu Narodnego, została otwartą na dniu dzisiejszym. Z najnowszych kompozycji Jana Matejki, znajduje się jego „Iwan Groźny.“ W przyszłym numerze umieścimy pogląd na tegoroczną wystawę lwowską, rozpoczynając od Matejki.

— Na wystawie paryskiej znajduje się w tej chwili obraz Jana Matejki „Dzwon Zygmunta.“ Krytyka francuska zarzuca naszemu artyście, że jest nadto wielkim „kolorystą.“ Mimo to dodaje „że kto przedrze się przez chaos kolorów, ten odkryje rzeczy godne talentu wielkiego artysty. Szczególnie pięknie są malowane niektóre głowy i całe postacie.“

— Znowu obraz Matejki! Donoszą z Krakowa, że artysta wykończył kompozycję treści religijnej, której za tło służy epizod z życia matki Zbawiciela. Znając realistyczny talent Jana Matejki, wątpimy, aby jego obraz religijny mógł stanąć na równi z działami historycznemi, które stworzył. Zresztą, zobaczymy.

— Komisja budżetowa sejmu galicyjskiego uchwaliła udzielić teatrowi lwowskiemu subwencję w ilości 12.000 guldenów, pod warunkiem, aby opera była we Lwowie utrzymywana przynajmniej przez przeciąg czterech miesięcy każdego roku. Położenie dyrekcji teatralnej jest dziś o tyle korzystniejsze, że nie jest ona już obowiązaną utrzymywać operę stałą, cały rok, co wielkie sumy pożerało, rujnując całą instytucję.

— Komitet towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie, ogłasza na rb. trzy konkursa, na temata: do konkursu malarskiego: Obraz olejny przedstawiający „Gościnność“; do konkursu rzeźbiarskiego: „Długosz“, statuetka lub grupa; do konkursu architektonicznego: „Projekt bramy wjazdowej“ z dwoma bocznemi wyjściami do parku miejskiego.

— Warszawski „Wiek“ odebrał pismo następujące: „Szanowny Redaktorze! z powodu wzmianki w Nr. 104 „Wieku“ o autorze „Niewinnych“, pozwól mi Pan za pośrednictwem swego pisma prosić wszystkich łaskawych a podejrzliwych sprawozdawców, ażeby w nazwisku autora pomienionego dramatu raczyli nie odczytywać żadnego innego nad to, którem on się sam zameldował. *Władysław Okoński.*

— Tak okrzyczany dramat Wiktoryna Sardou „Rabagas,“ który i na naszej scenie widzieliśmy, wystawionym został dnia 3. b. m. w Lipsku i doznał bardzo dwuznacznego przyjęcia; mocna bowiem opozycja zagłuszyła rzadkie oklaski.

— Konkurs Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu ogłoszony na posiedzeniu publicznem tegoż Towarzystwa dnia 3 maja 1875 roku. Dnia 3 maja 1873 r. Rada Towarzystwa przystępując do wyznaczenia zwykłego dwuletniego konkursu, zwróciła uwagę swoją na liczne bardzo w ostatnich latach i mnożące się ciągle wydawnictwa dokumentów i materjałów historycznych w języku rossyjskim, a pamiętna na to, iż dokładna znajomość przeszłości osięga się jedynie przez poznanie, zestawienie i porównanie różnostronnych i nawet sprzecznych z sobą źródeł, opowiadań i świadectw, umyśliła ze swojej strony wskazać polskim na polu historycznem pracownikom, to nowe dla poszukiwań ich pole, i dla tego za przedmiot do konkursu obrała i ogłosiła następujące zadanie: „Zdać sprawę z wydawnictw histo-

rycznych, bądź opracowanych, bądź ze źródeł, przynoszących nowe fakta lub spostrzeżenia do historji polskiej XVI, XVII i XVIII wieku, a ogłoszonych w ciągu ostatnich lat dwudziestu w Kijowie, Moskwie i Petersburgu. Ocenić stronę naukową tych wydawnictw." Termin oznaczony upłynął, a nie odebraliśmy niestety ani jednej rozprawy odpowiadającej na ogłoszone zadanie. Tymczasem w ciągu ubiegłych dwóch lat ostatnich nie tylko rozpoczęte pierwej wydawnictwa rossyjskie utrzymały się na dawnej stopie, ale jeszcze rozszerzyły się znacznie, a nie jedno nowe do nich przybyło: jeżeli zaś dokumenty ogłoszone przez petersburgską archeograficzną i inną kijowską komisję, odnoszące się do historji tak zwanej zachodniej i południowo-zachodniej Rossji, zawierały niezmiernie cenne do wewnętrznych dziejów naszych a zwłaszcza do stosunków unickiego kościoła materjały, z których już znakomity historyk świętego Jozefata korzystać umiał, to mnożące się w ostatnich zwłaszcza latach dokumenty, korespondencje, pamiętniki tyczące się panowania Katarzyny II, cesarza Pawła i Aleksandra I, takich dochodzą rozmiarów i takie na tę epokę rzucają światło, że już żaden poważny pisarz mówić o niej nie będzie miał prawa, nie poznawszy tych świadectw. Przy całej ważności swojej wydawnictwa te potrzebują jeszcze krytycznego ocenienia i opracowania; znajdujący się w nich bogaty surowy materjał nie zawsze przez rossyjskich wydawców z koniecznym przy naukowej pracy spokojem i bezstronnością używanym bywa; z zebranych materjałów skorzystać, prawdę z nich a z nią razem naukę wyciągnąć, błędy o ile podołna wykazać i sądy namiętne sprostować — jest właściwie zadaniem pracowników polskich. — W tem poczuciu i chcąc w miarę możności swojej do podobnej pracy zachęcić, Rada Towarzystwa postanowiła sumy konkursowej żadnemu na tem raz dziełu historycznemu z dwóch lat ostatnich, jak to zwykła czynić, nie przyznawać, lecz ją nietkniętą zostawić i przytoczone wyżej zadanie r. 1873 roku na jeden rok jeszcze przedłużyć. Przechodząc z kolei o wyznaczenia nowego, dwuletniego konkursu, Rada towarzystwa z uwagi: iż Unia kościelna dokonana w 1595 roku była największej doniosłości faktem w historji naszej; że w ostatecznem jej przeprowadzeniu w narodzie i w pozyskaniu dla niej z kolei sąsiadów, leżało właściwie opatrznościowe i cywilizacyjne posłannictwo Polski; że przyczyn zaniechania czy też niespełnienia tego posłannictwa nie tylko w zewnętrznych okolicznościach i wypadkach, ale też i we wnętrzu samego społeczeństwa naszego szukać należy; że dzisiaj, kiedy rząd rossyjski w podległych sobie prowincjach ostateczne ciosy Kościołowi unickiemu zadał znosząc dyecezyę chełmską, i kiedy już w jednej tylko Galicji przechowała się Unia, dokładne poznanie przyczyn jej upadku na Litwie i Rusi jest najbliżej nas obchodzącem zadaniem i staje się nawet koniecznym dla nas obowiązkiem, na przedmiot do konkursu wyznacza: „Wykazanie przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych upadku Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku, z poglądem na dzisiejszy stan tegoż Kościoła w Galicji." Warunki obydwóch konkursów pozostają dawniejsze, a mianowicie: Żądana praca w języku polskim odpowiadająca na każde z wymienionych zdań, ma wynosić od 12 do 15 arkuszy druku. Autorowie najlepszych rozpraw w obydwóch przedmiotach otrzymają nagrody, każdy po 1800 franków. Kto sobie życzy brać udział w tych konkursach, zechce przysłać swą pracę w rękopiśmie pod adresem sekretarza Towarzystwa (Paryż, *Quai d'Orléans 6*) albo p. Józefa Szujskiego, profesora historji polskiej przy uniwersytecie krakowskim i sekretarza generalnego Akademji umiejętności (Kraków w uniwersytecie Jagiellońskim). Rękopisma powinne być przysłane bezimiennie i opatrzone godłem wybranem przez autorów, a toż samo godło ma się znajdować na listach zapieczętowanych, które autorowie do rękopismów dołączą. Terminem ostatecznym dla przysłania rękopismów odpowiadających na pierwsze zadanie jest dzień 1 marca 1976: dla prac tyczących się zadania drugiego tenże dzień 1 marca 1877 roku. Na posiedzeniach publicznych dnia 3 Maja 1876 i 1877 roku Rada Towarzystwa przyzna nagrody i zarazem odpieczętowane będą listy noszące odpowiednie godła i ogłoszone imiona autorów. Inne listy zostaną spalone. Gdyby do dnia 1. marca 1876 i 1877 roku nie były przysłane żadne tego rodzaju prace, któreby w myśl obecnego konkursu zasługiwały na nagrodę, w takim razie na każdem ze wspomnionych posiedzeń publicznych suma 1800 franków ofiarowaną będzie autorowi dzieła historycznego polskiego, które w ciągu tego roku lub dwóch lat wyjdzie z druku i które Rada za najlepsze osądzi. — W imieniu Rady Towarzystwa Sekretarz: Bronisław Zaleski. Paryż d. 3 maja 1875 roku.

— P. Słonimski, Warszawianin, znany matematyk, jest obecnie wydawcą w Berlinie czasopisma hebrajskiego: „Hacfiiro". W piśmie tem pomiędzy innemi twierdzi: „że gdyby Adam i Ewa wraz z potomstwem nie byli karani śmiercią, żyliby do dziś dnia wszyscy, i że tym sposobem liczba żyjących dochodziłaby dziś do 661.800 kwintyljonów czyli, że gdyby cała powierzchnia ziemi była suchą, a ludzie na niej umieszczeni obok siebie, w obrębie jednej stopy kwadratowej, a na głowach ich stałaby druga warstwa, na drugiej trzecia, a na trzeciej czwarta itd. to wówczas potężna ta masa od dołu do góry byłaby o miljard razy większą niż odległość słońca od ziemi". Obliczenie to na pozór fantastyczne, ma jednak za sobą wyrachowanie matematyczne.

Podróże i odkrycia.

— Wyprawa szwedzka do Nowoj Zemli wypłynie w lipcu z Tromsoe na umyślnie w tym celu wynajętym i 12 norwegskimi majtkami obsadzonym okręcie. Biorą w niej udział, oprócz profesora Nordenskjöld, Dr. F. Kjellmann, L. Lundström, H. Théel i student Stuxberg.

— Dra Nachtigall, sławnego podróżnika i badacza ziem afrykańskich, przyjmowało Towarzystwo geograficzne w Rzymie świetnym bankietem, w którym wzięły udział różne znakomitości stolicy włoskiej.

— Jakkolwiek bardzo znaczny materjał do oznaczenia paralaksy słońca i odległości ziemi od niego, zdobyty przy ostatnich obserwacjach przejścia Wenus przez tarczę słoneczną, dotychczas jeszcze nie został uporządkowany i podany do powszechnej wiadomości, jednakże, jak pisze profesor Heis z Monasteru, można już z niego przybliżoną wartość dla paralaksy wyciągnąć. Francuz Puiseux bowiem niedawno temu nadesłał paryskiej Akademji Umiejętności rezultaty badań swoich, oparte na dwóch zupełnie udałych obserwacjach przejścia Wenery — a mianowicie Fleuriala w Pekingu i Moucheza na wyspie Ś. Pawła. Otóż określenie wartości paralaksy uda się wyciągnąć z podanych przez tych obu Francuzów spostrzeżeń i z ogółu danych astronomictnych i fotograficznych, których udzieliły dotąd rozmaite ekspedycje. Wartość 8" 879 podana przez Puiseux'go a różniąca się od wartości 8", 571 podanej przez Enkego i dotąd powszechnie przyjmowanej, — zgadza się w zadziwiający sposób z wartością znalezioną poprzednio przez Francuza Cornu, na podstawie badań szybkości światła i przez Gallego, na podstawie obserwacyj planety Flory. Można więc paralaksę 8", 88 uważać za pierwszą przybliżoną wartość, której prawdopodobnie druga pozycja dziesiętna nie zmieni. Z tej tedy przybliżonej wartości na paralaksę słońca wyciągnął profesor Heis przez prosty rachunek następujące rezultaty: średnia odległość ziemi od słońca wynosi 23.228 promieni ziemi, czyli 19,963.012 mil geogr., przecięcie zaś słońca wynosi 108 1/3 przecięć ziemi czyli 186.192 mil geograf.

— W nocy na 24. kwietnia Perrotin w Tuluzie odkrył nową planetę, 144 w szeregu małych planet, a czwartą z porządku w r. 1875. Perrotin w roku przeszłym wskazał już jedną nową planetę „Tolosa".

— W Pompeji 23. kwietnia i. r. odkryto malowidło, które powszechnie uważają za najznakomitsze z dotychczas wydobytych na światło dzienne. Przedstawia ono Laokona wedle opisu Wirgila. Wybornie zachowane farby na tem malowidle, pozwalają się spodziewać że można je będzie przenieść do muzeum.

Gospodarstwo i komunikacje.

— Dobry przykład dała Ameryka. Oto rada Stanu Tennessee uchwaliła, że odtąd każdy kawaler liczący lat 30, zdrów na ciele i umyśle, będzie płacił rocznie 50 franków podatku, dopóki się nie ożeni. Dochód z tego podatku będzie obracany w większej połowie na szkoły publiczne. Uchwała powyższa zirytowała wszystkich starych kawalerów, nie dla tego, że muszą opłacać podatek, ale że ich zaliczono między psy i konie, które podlegają także opłatom.

— Otwarcie międzynarodowej konferencji telegraficznej w Petersburgu nastąpi dnia 1. czerwca. Na tej konferencji ma być zawartą nowa umowa, w formie krótkiego międzynarodowego statutu. Wezwano do udziału w rozprawach także rządy: brazylijski, rzeczpospolitej Argentyńskiej, japoński, egipski, oraz pełnomocników 20 prywatnych towarzystw telegraficznych, które posiadają swoje linje w rozmaitych częściach wielkiej sieci telegraficznej świata.

Wojskowość.

— O teraźniejszym stanie artylerji austrjackiej donosi „Wehr Ztg.": Działo ze stali i spiżu konstrukcji generała Uchatiusa dało już 2147 strzałów. Pociski ważyły 6.35 kilogr. proch do naboju 1·5 kilogr. Działo okazało rezultat nadzwyczajny i najśmielsze oczekiwania zostały przewyższone. Co się tyczy celności tego działa, to wyrównywa zupełnie stalowym. Po 2121 strzale wywołano na próbę eksplozję pocisku w dziale: lecz mimo uszkodzeń można było nadspodziewanie dalej strzelać z tego działa. Temi próbami zadowolona komisja będzie robić doświadczenia z 10 działami tej samej konstrukcji, które już są wykończone.

— Gdy dawniej pancerniki zaopatrywano zewnątrz tylko jedną jednocalową pokrywą żelazną, obecnie wzmacniają ściany bateryj takich okrętów za pośrednictwem wewnętrznego pancerza, grubego na 4—6 cali — tak że tym sposobem cała grubość ściany pancernika, dodawszy do powyższej cyfry jeszcze 8—10 cali pancerza zewnętrznego i 12—14 cali drewnianej ściany — wynosi 24—30 cali. Odpowiednio do tego angielskie i rossyjskie pancerniki uzbrojone są 600 i 700 funtówkami.

— Fortecę Metz, można uważać za odbudowaną prawie w zupełności. Tylko fort przy Vorppy, którego odbudowanie podjęto dopiero w ostatnich czasach, jeszcze nie jest skończony. Obszerne magazyny mieszczą w sobie zapasy żywności dla załogi 30.000 ludzi na 3 do 4 lat. Cały teren zajęty przez budowę forteczną ma obszaru 24 kilometrów.

Sport.

— „Przedświt" ogier hr. Jana Tarnowskiego z Chorzelowa, o którego tryumfach na wyścigach w Preszburgu i Peszcie donosiliśmy w poprzednim numerze, wygrał d. 17. bm. w wiedeńskim biegu „Derby" największą nagrodę Jockey Clubu w sumie 6.000 złr. oraz wkładki wynoszące około 4 000 złr. Z „Przedświtem" który pochodzi od „Knight of the garter," po klaczy „The Jewel," współzawodniczyło 8 najsłynniejszych biegunów wyścigowych. Drugi koń wyścigowy tegoż samego właściciela „Turoń," w tym samym biegu dobiegł czwarty do mety. „Przedświt" biegał już w tym roku pięć razy, i tyleż razy był pierwszym. Jest to sukces nieznany dotąd w rocznikach sportu galicyjskiego i przechodzący wszelkie dotychczasowe na tem polu tryumfy.

Moda.

— Tegoroczne mody wiosenne w Paryżu pod względem przesady nie pozostawiają nic do życzenia. Damy noszą na głowach całe ogrody, lub przynajmniej rabaty kwiatów. W kroju sukien panuje ta sama przesada; nie są to już suknie, lecz formalne magazyny sukien, rozwieszonych w czterech lub pięciu egzemplarzach jedna nad drugą i nie wiedzieć jak z sobą połączonych lub poplątanych tak, iż trudno odgadnąć, gdzie początek a gdzie koniec. Toalety są tak różnobarwne, że żaden kolor przeważnie nie dominuje. Jedynym artykułem, który w bieżącym roku wkroczył w dziedzinę istotnego zbytku są pończochy, modne we wszystkich kolorac , w mlecznym, paljowym, cytrynowym itd. Cytrynowe pończochy, z pięknie wyhaftowanemi gronkami czerwonych porzeczek istotnie ładnie wyglądają. *Suprême du genre* są czarne pończochy; główną ich ozdobę stanowią zbytkownie wyhaftowane girlandy z kwiatów, które się okręcają około nogi jak powój około gałązki i zwykle dochodzą do kostki. Najmodniejszemi są pończochy dwukolorowe, których część wyższa ciemna, niższa jasna, np. fjoletowe i lila, czarne i różowe, niebieskie i białe, czerwone i żółte, i tak we wszystkich odcieniach, aby jednak te ozdoby nie były ukryte oku, ciżemki mają z przodu małe otwory, przez które widać pończochę. Stopa dźwiga się nieledwie prostopadle na nadzwyczajnie wysokich obcasach *à la Louis XV*, na których zaledwo stąpnąć można. Jest-to bardzo niewygodne, ale tak każe moda

ROZMAITOŚCI.

— Dla osób, żyjących pod opieką dobrze uorganizowanego państwa, jest rzeczą ledwie do pojęcia, że mogło gdzieś znajdować się tysiące ludzi, związanych w towarzystwo, którego celem i zawodem było mordować. A jednak towarzystwem takiem są Thupsy, czyli Phansiparsy w Indjach wschodnich, stanowiący tajemniczy, rozgałęziony, węzłami straszliwych przysiąg i ceremonij wzmocniony związek, — który posiada swój osobny język, rekrutuje się z rozmaitych klas społeczeństwa i poznaje po pewnych umówionych znakach. W Dekanie, wyżynie znajdującej się na południu Indyj, straszliwa ta szajka liczyła w gronie swojem nie tylko wszystkie klasy społeczeństwa, ale nawet kobiety, starców i dzieci. Każdy członek był w każdej minucie dnia i nocy na pogotowiu, do wzięcia udziału w mordzie i rabunku — a wskutek niezmiernego rozgałęzienia tego związku, sposobności ku temu nader często się nadarzały. Żaden podróżnik, wiozący pieniądze lub kosztowności, nie był bezpiecznym od napaści tych rozbójników. Phansiparsowie łączyli zawsze morderstwo z rabunkiem: był to jeden z najsilniej nakazanych artykułów ich prawa. Zwłoki ofiar zagrzebywali lub ukrywali w najtajniejszych zakątkach. Jeżeli ułożono plan napaści na liczniejsze grono podróżnych, to zwykle w pewnem wybranem miejscu czatowała na nich równa ilość Thupsów, którzy wszedłszy z podróżnymi w pozornie przyjazną rozmowę, nagle, na dany znak, zarzucali każdy swojej ofierze, stryczek na szyję i dusili ją. Ta metoda była im ulubioną; puginału rzadko używali. W Jaulnah żył stary, tajemniczego sposobu postępowania człowiek, pozornie wyglądający na jakiegoś Marhattę z wysokiej kasty, — a który rzeczywiście był skarbnikiem i przechowywaczem łupu Phansiparsów. Nie wiemy już co podało go w podejrzenie policji; pewnego tedy pięknego poranku bez hałasu aresztowano go. Ścisła rewizja jego mieszkania odkryła pod podłogą loch, napełniony kosztownościami, pieniędzmi itp. przedmiotami. Więzień wyznał bez najmniejszych wybiegów, że jest bankierem bandy Phasiparsów i obiecał nic nie ukrywać, byleby mu darowano życie. Przyrzeczono mu to. Wówczas w okręgu 15 mil angielskich wydał około 200 spólników swoich: mężczyzn, kobiet i dzieci — w ręce karzącej sprawiedliwości. Ci winowajcy uwięzieni, przyznali się natychmiast do wszystkich zbrodni swoich — wszyscy bowiem mieszkańcy Wschodu są fatalistami i poddają się losowi z jak najbardziej zimną krwią i rezygnacją. Sąd skazał po przeprowadzeniu badania mężczyzn na karę stryczka, kobiety i dzieci na dożywotnie więzienie. Spełnienie wyroku na tej setce zbrodniarzy, odbyć się miało na rozmaitych punktach Dekanu w celu przejęcia pozostałych jeszcze lub przyszłych Thupsów zbawienną zgrozą. Dziesięciu miało być obwieszonych w Jaulnah. W nocy przed egzekucją odwiedził prezydujący winowajców i pytał się, czy nie żałują swoich tak niezmiernych zbrodni. Wszyscy odpowiedzieli, że dopełnili obowiązku dobrych Phansiparsów, tak jak on spełnił swój obowiązek, jako sędzia, — i że śmierć czeka każdego z ludzi, a rodzaj jej jest zupełnie obojętną rzeczą. Zachowanie się tych zbrodniarzy było takie, jak gdyby pysznili się swemi czynami i oczekiwali za nie pewnej nagrody w przyszłem życiu. Spełnieniu wyroku towarzyszyły niezliczone tłumy mieszkańców. Phansiparsowie kroczyli na szubienicę spokojnie, śpiewając rodzaj hymnu tryumfalnego i paląc spokojnie fajki. Gdy stanęli pod szubienicą i pierwszy z nich miał już na nią wstąpić, uściskał swoich towarzyszy i dał im pociągnąć ze swojej fajki — i tak jeden po drugim aż do ostatniego.... Gdy ten jednakże już zawisł — stała się rzecz zgoła niespodziana. Tłum otaczający szubienicę rzucił się na powieszonych i powycinał im ścięgna achillesowe z nóg, ażeby po śmierci, jako upiory, dalej rzemiosła swego nie prowadzili!

— Hrabia Henryk v. Brühl znany minister saski i polski, ulubieniec Augustów IIgo i IIIgo, odznaczał się osobliwszem staraniem o swój dobrobyt i komfort, — a tymczasem gdy on i dwór kurfirsta w zbytkach i świetności opływali, nieszczęśliwa Saksonja, zrujnowana nieładem jego rządów i jęcząca pod ciężarem nieproporcjonalnych podatków, przeklinała sprawcę swojej nędzy. Brühla nie obchodziło to bynajmniej. On wśród tego za pieniądze wyciśnięte od mieszczan i chłopów ponabywał mnóstwo dóbr wiejskich i miejskich; napełnił swój świetny pałac w Dreznie skarbami wszelkiego rodzaju: posągami, obrazami i najkosztowniejszemi sprzętami. W pałacu tym nawet klamki od drzwi były grubo pozłacane a piece z grubej porcelany miały formę rzymskich mauzoleów, lub greckich świątyń. Najbardziej jednak godną podziwu była olbrzymia szatnia hrabiego. Cztery niezmierne sale natłoczono wielkiemi szafami, w których ukrywało się tysiące garniturów, 800 szlafroków po największej części ze złotogłowiu i niepoliczone mnóstwo nocnych czapeczek jedwabnych, atłasowych i z innych drogich materyj. Do każdego garnituru należał osobny kapelusz, osobny zegarek, tabakierka i szpada gotowa. Wszystkie suknie, odmalowane miniaturowym sposobem w pięknie oprawnej księdze, codzień mu przedstawiano do wyboru. Z 40 kamerdynerów, którzy mu służyli, 4 miało nadzór specjalny nad szatnią. Personal kuchenny u niego składało 16 kucharzy i rój kuchcików. Osobni kurjerzy stali na rozkazy i przywozili z Paryża i z innych stron Europy pasztety i łakotki. Objady u ministra składały się co najmniej z 30 potraw; przy większych zaś fetach dochodził ten zbytek do 80 i 100 dań — a 200 złotem kapiących lokajów obsługiwało gości. To też gdy wreszcie 28. października 1763 r. zeszedł ze świata ten kosztowny mąż stanu, Saksonja odetchnęła jakby od ciężkiej zmory uwolniona.

— Towarzystwa humorystyczne i satyryczne miały także swoją epokę tajnych organizacyj i wielkiego wpływu. Przy końcu 17. a na początku 18. wieku istniało w Paryżu, złożone z najdowcipniejszych naówczas ludzi, towarzystwo zwane „Le Regiment de la Calotte“ którego satyrycznej werwy i ośmieszających wyroków najwyżej położone osobistości się obawiały. Zasiadali w tem gronie nawet i znamienici poeci, a szczególną cechą członków był strój głowy — czapka, pół do błazeńskiego kołpaka, w pół do szlafmycy podobna (Calotte). Niech tylko kto dopuścił się jakiego porządnego głupstwa, lub strzelił potężnego bąka w Paryżu, we Francji a nawet w ogólności w Europie, w wyższych sferach towarzyskich, na dworze jakim, lub w świecie artystycznym i uczonym, natychmiast Calottyści dowiadywali się o tem i na posiedzeniu umyślnie zwołanem poważną odbywali naradę, czy sprawca owej niedorzeczności, zasługuje na patent lub nie. W razie potwierdzającej odpowiedzi — a tylko doskonałe błazeństwo takiej doczekać się mogło, — wysyłano satyryczny dyplom — wedle okoliczności prozą lub rymowany — ani spodziewającemu się grzesznikowi z dodatkiem owej charakterystycznej czapki — co było oznaką, że towarzystwo uznaje go za członka swego honorowego, to jest za błazna i safandułę. Jednocześnie zaś odbitki, lub odpisy posłanego dyplomu rozpowszechniano w stronach zamieszkanych przez nowego członka, który od tej chwili stawał się przedmiotem powszechnego pośmiewiska. Dla lepszego wrażenia Calottyści okrywali się mgłą tajemnicy. Nigdy z pewnością nie było wiadomem, jacy żartownisie w skład ich wchodzili, to tylko pewna, że na czele ich stał dowcipny romansopisarz Lesage, autor Gilblasa i Djabła Kulawego. On to bowiem wspólnie z przyjacielem swoim d'Orneval'em ułożył farsę pod tytułem „Le Regiment de la Calotte“ przepełnioną wybornemi kupletami, w której wyskoki i szalone ceremonje Calottystów pierwszy raz publiczności przedstawiono. Sztuka ta przedrukowana znajduje się w 5 tomie „Theatre de la Foire“ (Amsterdam, 1726) książki dzisiaj już bardzo rzadkiej — a do tej komedji dołączonym jest drzeworyt przedstawiający posiedzenie wesołego towarzystwa pod przewodnictwem Arlekina. Rzecz naturalna, że tajemniczy satyrycy w krótkim czasie narobili sobie wielu i to nawet potężnych nieprzyjaciół. Gdy zaś nareszcie poważyli się obcym monarchom dyplomy błazeńskie i czapeczki posyłać, policja tak zapalczywie wzięła się do poszukiwania ich, iż uważali za rzecz najroztropniejszą, po 20 latach najpożyteczniejszej działalności, rozwiązać się. Wolna bowiem na całe życie kwatera w podziemnych lochach Bastylji zdawała się hulaszczym Calottystom, nie całkiem stosowną nagrodą za ich świetny dowcip.

— Adamus Bremensis w dziele swojem „De situ Daniae Cap 247.“ na podstawie zapisków arcybiskupa bremeńskiego Adalberta, (1043—1072) podaje następujące osobliwe a jednak w awanturniczości swojej pełne prawdy opowiadanie o najdawniejszej wyprawie z ujścia Wezery do bieguna północnego. Wedle naówczas powszechnie panującego mniemania, od ujścia Wezery w kierunku prostym aż do osi północnej ziemi rozciągała się płaszczyzna wodna, nie przerwana żadnym lądem. Otóż zuchwali marynarze fryzyzyjscy powzięli zamiar przekonania się o prawdzie tego twierdzenia i przez Morze Północne wpłynąwszy na Trichter tj. część morza pomiędzy Norwegją a Szkocją, skierowali się koło orkadów na lewo i minąwszy Islandję a wciąż trzymając się w kierunku północnym, dostali się wreszcie w głęboką ciemność i mgliste noce, panujące przez całą jedną część roku na dzikim Oceanie. Okręty składające flotę dostały się w moc rwącego prądu, i tam jedne zginęły, inne zaś w powrotnej drodze wspomagane pomyślnym prądem, przybyły w okolicę, kędy, po długiej podróży, marynarze ujrzeli niespodzianie przed sobą wysoki, skalisty, bezludny kraj. Była to wyspa. Marynarze wylądowali na nią i przeszukiwać ją poczęli. I oto około południa natrafili na ludzi śpiących w mieszkaniach podziemnych, przed którymi leżało złotego, srebrnego sprzętu i kosztowności co niemiara. Nasi marynarze pochwycili część tych skarbów i podążali z niemi na okręty. Naraz ujrzeli za sobą olbrzymich ludzi, którzy ścigali ich, szczując potężnemi psami. Potworne zwierzęta dopadły jednego z Fryzów i rozszarpały go; reszta zdołała dopaść okrętów, słysząc tuż za sobą ryki gniewne olbrzymów i wściekłe ujadanie psów. Po tej przygodzie zuchwali żeglarze powrócili do Bremen i zdali z całego przebiegu swej podróży sprawę biskupowi Alebrandowi (1032 - 1043) poprzednikowi Adalberta. Uczony geograf K. F. Clement, powyższe opowiadanie zaprawione zmyśleniami, komentuje w następujący sposób: Szkic Adama Bremeńskiego jest nieco fantastyczny, ale fakta w nim są prawdziwe. Po za 83° stop. szer. półncn. wszystkie prądy rwą ku północy. W jeden z takich, które maelstromami (Voragines) nazywają, wpadli fryzyjscy marynarze. Można było naówczas o wiele bardziej przybliżyć się do bieguna, niż dzisiaj, bo co stulecie lody coraz bliżej ku nam się przysuwały, szczególniej zaś w trzech wiekach ostatnich. Co do owego tajemniczego lądu, o którym wspomina opowiadanie naszych marynarzy, to wiedzieć potrzeba iż od 83° szer. półncn. prąd Lodowatego Oceanu ciągnie ku brzegom wschodnim krajów podbiegunowych, — i on to pochwyciwszy naszych Fryzów w moc swoją w powrotnej drodze — zapędził ich do jednej z Shetlandzkich albo Orknejskich wysp, na której wylądowali. Na ten ślad naprowadza także wzmianka o podziemnych mieszkaniach, tak zwanych domach Pichtów, które tam jeszcze dziś znaleźć można. Olbrzymi zaś owi mieszkańcy byli to niezawodnie skandynawscy lub duńscy korsarze, którzy w owym czasie jeszcze całą wschodnią Europę łupili i niezmierne skarby na wyspy północne ściągali. Psy były ich stałemi towarzyszami. Wyprawa ta zaciekawia, jako najdawniejsze pokuszenie się o dobicie do bieguna północnego.

Odpowiedzi Redakcji.

Gazeta Podkarpacka w Stanisławowie. Pismo polemizujące z drugiem, powinno uważnie odczytywać artykuły swego przeciwnika. Oto rada koleżeńska.

S... we Lwowie. Z propozycji korzystać nie możemy.

M. G. w Kolbuszowie. Spis rzeczy w pierwszym tomie zawartych będzie wkrótce dołączony.

Treść Nr. 21.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).